

Lidia Maria Trojanowska

PŁOCKI TRYPTYK O MARCINIE KAMIŃSKIM

A portrait of Marcin Kamiński, a man with dark hair and round glasses, wearing a suit and tie. The background is a soft-focus image of a building with two prominent spires, likely a church or cathedral. The entire image has a warm, golden-brown color palette.

Marcin Kamiński



Lidia Maria Trojanowska


PŁOCKI TRYPTYK
O MARCINIE KAMIŃSKIM





Lidia Maria Trojanowska

PŁOCKI TRYPTYK
O MARCINIE KAMIŃSKIM



Białystok – Płock 2009

Autor:

Lidia Maria Trojanowska

Korekta:

Tadeusz Trojanowski

Projekt okładki, skład i opracowanie graficzne:

Jacek Chańko

© 2009 Copyright by Lidia Maria Trojanowska

© 2009 Copyright by Wydawnictwo BUK

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

ISBN 978-83-61128-63-2

Wydawca:



15-205 Białystok, ul. Nowowarszawska 25, tel. 85 868 40 60

Druk i oprawa:



Białystok, tel. 85 74 04 704, e-mail: druk@bialykruc.com

Sponsor:



Impresariat Muzyczny PRO ART w Białymstoku

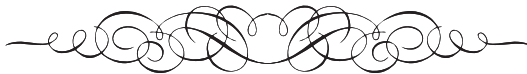
15-199 Białystok, ul. Włociańska 79, tel. 85 741 66 61, 602 529 193

e-mail: trojanowscy@interia.pl, www.trojanowscy.pl

**Wydano przy wsparciu finansowym
Rady Rodziców Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia
im. Marcina Kamińskiego w Sierpcu.
e-mail: psm sierpc@pro.onet.pl
www.sierpcpsm.neostrada.pl**

*Muszę stwierdzić, że dążenia moje,
mające na celu uczynienie z Płocka i Mazowsza
płockiego regionu muzycznego spełniły się*

Alfons Hauke



Przedmowa

Oddajemy w Państwa ręce preludeum większej formy wyrażając nadzieję, że takowa powstanie w przyszłym roku, jako forma wspomnienia i pamięci o człowieku, który na pięknym Mazowszu i w księżącym Płocku zostawił swój trwały ślad.

Coraz mniej jest tych, którzy znali prof. Marcina osobiście. Czasoprzestrzeń jest znacznikiem pamięci i zapomnienia. Stąd młodzi płocczanie nie znają ani osoby Marcina Kamińskiego – płocczanina roku 1983, ani jego wszechstronnej twórczości, ani spuścizny niewymierzalnej, jaką po sobie pozostawił.

W roku 1964 przybył do Płocka ze Śląska, by budować i pielęgnować kulturę, by w krajobraz kulturalny Mazowsza wpisać na stałe wydarzenia i instytucje, które rozwijają się do dziś kształcąc pokolenia muzyków, melomanów i odbiorców sztuki.

Ten pierwszy sygnał idący od nas, których od 30 lat nie ma na rodzinnej ziemi, ma za cel uświadomić wszystkim na co dzień będącym w Płocku, że była taka postać, jak dr **Marcin Kamiński** – długoletni dyrektor szkół muzycznych w Płocku, inspirator i założyciel Płockiej Orkiestry Kameralnej, niestrudzony działacz społeczny w Płockim Towarzystwie Muzycznym, autor kompozycji poświęconych miastu Płock, sercem oddany ludziom i sztuce. Słowem posługiwał się z wielką łatwością, zarówno, gdy pisał swoje wspomnienia czy listy, jak i wówczas, gdy udzielał wywiadów, czy prowadził koncerty. Człowiekiem był trudnym, jak artysta i kontrowersyjnym, jak przystało na czasy, w których przyszło mu żyć.

Pozostawił na mazowieckiej ziemi trwałe ślady w przestrzeni materialnej i tej niewerbalnej, dla której należy o nim pamiętać. Wykształcił pokolenia odbiorców i koneserów sztuki, a także muzyków, z których wielu zawdzięcza dr Marcinowi solidne podstawy wiedzy muzycznej i praktycznej. Do tych wielu zaliczamy się skromnie i my, którzy w 45. rocznicę przybycia do książęcego Płocka dr Marcina Kamińskiego, w bliskości 20 rocznicy śmierci kompozytora, pianisty i animatora życia kulturalnego w Płocku pragniemy zapalić pierwszy płomyk pamięci.

W tej części niniejszej publikacji zamieszczamy rozdział I wspomnień pisanych od roku 1983, a zawierających okres życia dr Marcina Kamińskiego od urodzenia do matury.

Dzięki życzliwości pani Anny Piórkowskiej – wieloletniego współpracownika dr Kamińskiego i materiałom, które nam udostępniła, a które pozostają w bibliotece Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Płocku przekazujemy do Państwa dyspozycji I część *Płockiego Tryptyku o Marcinie Kamińskim*. W zbiorach bibliotecznych szkoły w Płocku i w Sierpcu pozostają niewydane materiały: skrypty, partytury, artykuły i listy, z których poznać można ówczesną sytuację kultury na Mazowszu, a które unaoczniają wielki trud, jaki wkładał dr Marcin Kamiński w budowanie materialnych i niewymierzalnych przestrzeni muzyki. Warto przypomnieć, że patronem PSM I stopnia w Sierpcu jest dr Marcin Kamiński od 1994 roku.

Kierowani impulsem przypomnienia postaci Płocczanina Roku 1983 r., gdy trafił w styczniu 2009 r. w nasze ręce list od Marcina Kamińskiego, winni jesteśmy serdeczne podziękowania Wydziałowi Kultury i Sportu Urzędu Miejskiego (Panu Dyrektorowi Rolandowi Buremu i Pani Renacie Nowakowskiej) za to, że dostrzegł nasz projekt *Płocki Tryptyk o Marcinie Kamińskim* i wspierał nas w kolejnych działaniach związanych z jego realizacją. Składamy serdeczne podziękowania prof. Hannie Witt-Pasztowej za pomoc i pozytywną motywację. Serdecznie dziękujemy Radzie Rodziców PSM I stopnia w Sierpcu

i Pani Dyrektor Barbarze Bońkowskiej. Pragniemy podziękować Dyrektorowi PSM I i II stopnia im. Karola Szymanowskiego w Płocku Panu Mikołajowi Burakowskiemu licząc, że postać niekwestionowanego budowniczego szkoły muzycznej – jakim był Marcin Kamiński – pozostanie żywo w pamięci obecnych i przyszłych pokoleń nauczycieli oraz uczniów. Swoje wyrazy wdzięczności kierujemy w stronę tych, którzy napisali wspomnienia o Marcinie Kamińskim. Dziękując Prezydentowi Miasta Płocka Panu Mirosławowi Milewskiemu za Patronat Honorowy nad *Płockim Tryptykiem o Marcinie Kamińskim* wyrażamy nadzieję, że inicjatywa nasza przerodzi się w cykliczne spotkania przybliżające mieszkańcom Płocka ludzi, którzy wpisali się w ostatnich dziesięcioleciach w kulturowy pejzaż nadwiślańskiego grodu zostawiając po sobie niezatarty ślad. Kultura bowiem, jak mówił nasz Rodak Jan Paweł II, *jest dobrem, na którym opiera się życie duchowe Polaków. Ona wyodrębnia nas jako naród. Ona stanowi o nas przez cały ciąg dziejów. Stanowi bardziej niż siła materialna. (...) Uczyńcie ją przedmiotem szlachetnej dumy. Przechowujcie to dziedzictwo. Przekażcie je następnym pokoleniom. A to zadanie należy do nas wszystkich, którzy umocowani jesteście do pielęgnowania tych wartości.*

Lidia i Tadeusz Trojanowscy

Lidia i Tadeusz Trojanowscy

Płock – Białystok, listopad 2009 r.



W publikacji wykorzystano materiały udostępnione
przez bibliotekę Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia
im. Karola Szymanowskiego w Płocku,
za co serdecznie dziękuje autorka.



MARCIN KAMIŃSKI

1913 – 1990

Kompozytor, pianista, pedagog, organizator życia muzycznego na Śląsku i Mazowszu. Absolwent Śląskiego Konserwatorium Muzycznego w Katowicach w klasach: fortepianu (Aleksander Brachocki) i kompozycji (Bolesław Woytowicz). Od 1936 r. działał jako pedagog w Cieszynie. Podczas II wojny światowej prowadził w Sosnowcu tajną szkołę muzyczną liczącą 70 uczniów. W 1945 r. założył w Gliwicach Instytut Muzyczny (obecnie Państwowa Szkoła Muzyczna I i II stopnia), w latach 1945-1964 był jego dyrektorem. Był inicjatorem powstania w Gliwicach pomników Fryderyka Chopina (1949) i Adama Mickiewicza (1957). Od 1964 do 1977 był dyrektorem w Państwowej Szkole Muzycznej I i II stopnia w Płocku. Działał w Płockim Towarzystwie Muzycznym im. Waława Lachmana (1965-1990 – sekretarz Zarządu) i Związku Kompozytorów Polskich (1954-1990). Z jego inicjatywy zorganizowano: cykl *Spotkania na pięciolini*, których odbyło się od 1965 r. ok. 450 oraz Płocką Orkiestrę Kameralną (1975), której był współzałożycielem i dyrektorem. W 1980 r. uzyskał stopień doktora na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego (rozwprawa doktorska pod tytułem *Faustyn Piasek – życie i działalność* – promotor prof. dr hab. Antoni Rajkiewicz).

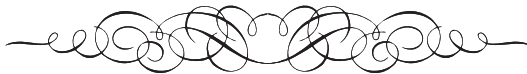
Pasją kompozytora było wędkarstwo i myśliwstwo. Należał do koła łowieckiego *Hubert* w Płocku, dla którego napisał sygnał (Hejnał Płockich Myśliwych).

Z inicjatywy Ryszarda Badowskiego (dyrektora Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Sierpcu w latach 1982-2008) sierpecka szkoła muzyczna – powstała w 1988 r. na bazie filii PSM I i II stopnia w Płocku – przyjęła za Patrona Marcina Kamińskiego (1994).

Wśród wielu kompozycji znajdują się dedykowane miastu Płock: *Kantata Płocka* (1965), *Mazowsze* (1965 do tekstów W. Broniewskiego), *Tryptyk Płocki* (1975) – *Intermezzo*, *Legenda o Tumskim Wzgórzu*, *Impresje Petrochemii*, *Tryptyk Płocki* na fortepian (1975) – *Toccatina*, *Kołysanka*, *Igraszki*, *W tanecznym wirze*, *Saga o Bolesławie Krzywoustym* (1978, wersja na wielką orkiestrę symfoniczną 1981), *Rapsod o romańskich drzwiach płockich* na tenor, głos recytujący, chór mieszany i organy (1981, do tekstów S. Jagielskiego), *Tren słoneczny* na chór *á cappella* (dedykowany F. Dorobkowi, 1981, do tekstów S. Dobrowolskiego), *Mazusiowe impresje* na skrzypce i fortepian (1984), kantata oratoryjna *Bolesław III Krzywousty* (1985), oratorium *Rok 1237 – lokacja Płocka* (1986-1987).

Bogata twórczość obejmuje kompozycje instrumentalne, kameralne, wokально-instrumentalne, wokalne oraz opracowania utworów i pieśni w tym:

- orkiestrowe – poematy symfoniczne: *Mochnacki* (1947), *Paweł Kocima* (1948), *Tryptyk dziecięcy* (1949), suita *Śladami Fryderyka* (1949/1976), *Koncert fortepianowy* (1961), *Suita w dawnym stylu* (1977), *Fanfary zwycięstwa* (1983)
- kameralne: *Suita* (1949) na kwartet dęty, *Wariacje* na kwartet dęty (1949), *In stilo retro* (1979), *Miniatury muzyńskie* (1980), *Tryptyk* na obój, klarnet, fagot (1981), *Capriccio* na altówkę i fortepian (1980)
- wokально-instrumentalne: *Oda do młodości* (1957, do tekstów A. Mickiewicza), *Powsinogi beskidzkie*, *Kolędziolki beskidzkie*, *Czerwony grad*, *Wschód księżycy* (1942-1944, do tekstów E. Zegadłowicza), *Śląsk śpiewa* (1944, do tekstów J. Tuwima), *Chopin nad oceanem* – (1974, do tekstów J. Jędrzejowskiego), *Kwiaty* (1974, do tekstów K. Iłakowiczówny, A. Asnyka), *Marzenie* (1978, do tekstów L. Staffa), *Rozmiłowała się dusza* (1979, do tekstów J. Kasprowicza), *Białe bzy* (1979, do tekstu W. Jaxy-Bykowskiej), *O skrzypcach zamarychostowych, o wodniku i nieoczywistej* (1980, do tekstów E. Zegadłowicza), *Chorał żałobny* (1981, do tekstów własnych)
- opracowania utworów i pieśni ludowych na zespoły orkiestrowe i chórálne w tym pełnospektaklowe opracowania materiałów muzyczno-wokalnych dla Zespołu Pieśni i Tańca Filii Politechniki Warszawskiej w Płocku (1978) oraz niepublikowane prace i skrypty z dziedziny muzyki i folkloru.



PIÓREM MARCINA KAMIŃSKIEGO

Rozdział I

Lata dzieciństwa i młodości

Urodziłem się 11 listopada 1913 roku w małej mieścinie – Strzemieszycach Wielkich, leżącej w Zagłębiu Dąbrowskim, z ojca Waleriana i matki Leonii z Szujeckich. Rodowody moje sięgają odległych wieków historii Polski. Zgodnie z zachowaną tradycją, przodek po mieczu, herbu Dołęga otrzymać miał nadania rycerskie i klejnoty rodowe od samego króla Władysława Łokietka za dzielny udział w bitwie z Krzyżakami pod Płowcami pamiętnego 1331 roku.

Kamińscy osiedli na Mazowszu w rejonie Pułtuska – Serocka, gdzie niemal do ostatnich czasów utrzymywał się w ich rękach majątek, Zalesie Borowe, na którym w 1945 roku rezydował jeszcze najstarszy brat mojego ojca – Władysław.

W opowieściach rodzinnych, w których celował mój ojciec, często wspomniano różne nieprawdopodobne wprost historie, czasem tragiczne, ale częściej wesołe, które rozśmieszały nas, dzieci.

Pamiętam, jak to ojciec opowiadał o swoim stryju, przeraźliwie skąpym szlagonie historię godną pióra Moliera. Otóż ów stryj w połowie ubiegłego wieku kilka razy w roku wybierał się ze swego majątku na jarmark do gubernialnego miasta. Kolei oczywiście w okolicach nie było, więc stary dusigrosz odbywał podróż bryką zaprzęzoną w parę koni. Wozami towarzyszyła mu służba. Podwodami wieziono pościel, naczynia, wyżywienie i towary na handel. W trakcie podróży, przeciągającej się do dwóch tygodni, zatrzymywano się – dla oszczędności – w przygodnych chatach – kwaterach. Na postojach, służba wyciągała wiktuały – pęta kielbasy gotowano w saganach. Spożywano z chlebem uważoną polewkę. A kiedy służba ostrzyła sobie zęby na kielbasę, stary skąpiec kazał pakować ją do sakwojaży i jechano dalej, by operacja z posiłkami powtarzała się po raz wtóry, trzeci (...).

Po powrocie do domu kielbasę całkowicie wygotowaną, wieszano w spiżarni i suszono – na zapasy!

Gdy skąpiec zmarł, pozostawił swoim synom nieprawdopodobny majątek, który i tak przepadł, skonfiskowany przez urzędników carskich, „dasmoszczyków” (jak mawiali złośliwie Polacy), za udział tego odgałęzienia Kamińskich w Powstaniu Styczniowym 1863 roku.

Mój ojciec od wczesnych lat chłopięcych był namiętym myśliwym. Często uganiał się po polach rodzinnych ze starą berdanką, strzelając do kuropatw i zajęcy. Gdy podrósł, otrzymał od swojego ojca Klemensa, dubeltówkę kurkową. Otóż pewnego razu zdarzyło się – jak opowiadał – że przemoczony do suchej nitki zawędrował ze swoim jamniczkiem Pufi do sąsiedniego mająteczku stryja Michała Kamińskiego. Ten, zobaczywszy – pożał się Boże – 17-letniego wyrostka mokrego i sponiewieranego, wykrzyknął:

— *Walek, jak ty wyglądasz? I tylko dwie kuropatwy dyndają ci w siatce (w owym czasie nie używano na ptactwo troków)? Czy to warto?*
– i krzyknął do służącego:

— *Pietrek, a podsyp to ziarna na dziedzińcu!*

A kiedy zbiegło się ptactwo, odebrał stryjaszek Michał strzelbę od mojego ojca, założył patrony i wygarnął z dwóch luf. Zdrowe kury, kaczki, gęsi, perliczki rozbiegły się wśród wrzasku, ale znaczna część została na placu w ogniu lub ranna katowała się po obejściu.

A stryjaszek:

— *Pozbieraj Pietrek i do kuchni, niech zaraz czyszczą i pitraszą. Będziemy mieli gości na kolacji. Widzisz Walek – zwrócił się do mojego przyszłego ojca – tak się poluje! Nie zmokłem, nie utyłałem się w błocie, a „zwierzyna” do garnka jest!*

I śmiejąc się poszedł.

Stare to dzieje, bo sięgające lat dziewięćdziesiątych ubiegłego, XIX wieku.

Jedno pewne: rodzina Kamińskich, która za czasów I Rzeczypospolitej nie doszła do jakichś wysokich godności, była znaną z patriotyzmu, umiłowania tradycji narodowych, a przede wszystkim... z płodności. Ojciec mój Walerian, urodzony 13 grudnia 1878 roku był dwunastym synem u mego dziadka Klemensa Dołęgi – Kamińskiego (były także córki, ale, mawiano żartobliwie – płci nadobnej nie liczy się!). Jedno pewne: do głównych posiłków – obiadów i kolacji – (śniadanie jadano osobno) zasiadało w sali jadalnej dworu w Zalesiu Borowym około czterdzieści osób, w tym najbliższa rodzina, jakieś ciotki, różni wujowie, a także zatrudnieni w majątku, dla edukacji dzieci, nauczyciele i nauczycielki, ochmi-strzyni i inni. Gości było stale pełno, a szczególnie w okresie zimowym, ze względu na karnawał i zbiorowe polowania.

Musiąca być to patriarchalna i ciekawa rodzina, zasiedziała w starych tradycjach. Zdanie dziadka Klemensa, którego w ogóle nie widziałem na oczy, było święte. On to nie chciał pójść w ślady Bolesława Krzywoustego, który podzielił państwo między synów. Dziad Klemens zdecydował: przy takiej ilości dzieci nie można myśleć o podziale majątku. Postanowił, że na rodzinnej schedzie pozostaje najstarszy syn Władysław, o którym wspomniałem (zmarł, mając 99 rok życia, w Brzegu nad Odrą). Inni synowie mieli być spłaceni, a córki wywianowane.

Mój ojciec Walerian, który już trochę nauki liznął u domowego „bakałarza”, postanowił... uczyć się. Rodzina spłaciła go posyłaniem, oczywiście do rosyjskiej szkoły w Pułtusk¹, gdzie słono trzeba było płacić za samą naukę, bursę i wyżywienie.

Ojciec, po ukończeniu szkoły, ze sporym zasobem wiedzy, jak na ówczesne czasy, wstąpił na służbę na kolei warszawsko-wiedeńskiej, obejmując od razu stanowisko dyżurnego ruchu na stacji kolejowej w Będzinie². Praca ta uratowała go od odbycia służby wojskowej w armii carskiej.

Tutaj zastała go rewolucja 1905 roku, podczas której włączywszy się do pochodu manifestujących Polaków na drodze wiodącej

¹ **Liceum Ogólnokształcące im. Piotra Skargi** – najstarsza szkoła w **Pułtusk** założona w 1440 r.; prowadzona od 1565 przez Jezuitów (Jan z Głogowa, ks. Jakub Wujek, ks. Piotr Skarga, św. Andrzej Bobola), a od 1781 r. przez benedyktynów. Jej absolwentami byli m.in. Andrzej Batory – Książę Siedmiogrodu (1583), Jerzy Ossoliński – kanclerz wielki koronny (1607), Maciej Sarbiewski – poeta (1612), Henryk Purzycki – lekarz i pisarz (1927) Ryszard Sosnkowski – profesor fizyki, narciarz (1932).

² **Będzin** – jedno z najstarszych miast (651 lat od nadania magdeburckich praw miejskich 1358 r.) Małopolski i województwa śląskiego. Najstarsze ślady osadnictwa pochodzą z epoki brązu. W 1858 r. przez Będzin poprowadzono odnogę Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej z Ząbkowic do Sosnowca i na Śląsk. Połączenie tramwajowe z Dąbrowy Górniczej i Sosnowca uruchomiono w 1928. W latach międzywojennych powstały liczne fabryki: przemysłu cynkowego (Szymon Fürstenberg), pilników, bieli cynkowej i inne.

z Będzina do Sosnowca oberwał od szarżującego kozaka nahajką po głowie. Cięta rana długo nie chciała się zagoić.

Po tych brzemiennych w skutki wydarzeniach, ojciec zatęsknił za... ziemią. Zawsze miał we krwi ciągoty do uprawiania i prowadzenia gospodarstwa rolnego. W 1908 roku zakupił okazjnie kawałek gruntu koło bocznej (ówcześnie) drogi, w Strzemieszycach³ Wielkich, w czym dość sporą pożyczką dopomogła mu stara panna, ciotka Hortensja. Na parceli zaczął początkowo montować skromne zabudowania gospodarcze, a później „od ulicy” stanął jednopiętrowy dom murowany składający się z czterech mieszkań. Trzy lokale były podnajmowane, a myśmy zamieszkiwali na pierwszym piętrze. Do posesji należał dość spory kawałek uprawnego pola, łąka i sad z drzewami owocowymi.

Ojciec przekraczał w owym czasie 50 lat i czas było mu pomyśleć o założeniu gniazda rodzinnego. Podczas dojeżdżania do Strzemieszyc dość często zahaczał o Granicę (dziś Maczki), sławny punkt trzech cesarzy: Rosji, Prus i Austro-Węgier! I, jak to często bywa, tu spotkał przeznaczenie swojego życia, a moją matkę!

Naczelnikiem komory celnej był pan Czesław Szujecki, herbu Grzymała, urodzony w 1860 roku, znanym z tego, że w tym samym roku rodził się wielki Polak, mistrz Ignacy Jan Paderewski.

³ **Strzemieszycy Wielkie** – obecnie dzielnica Dąbrowy Górniczej. Osada istnieje od XI w.

W 1848 r. poprowadzono tędy odcinek Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej prowadzący do Maczek. Otwarto wtedy stację Strzemieszyce Południowe. W styczniu 1885 r. Strzemieszyce połączone zostały koleją Iwanogrodzko-Dąbrowską z Kielcami. Połączenia kolejowe odegrały rolę miastotwórczą. W przeciwieństwie do innych miejscowości Zagłębia Dąbrowskiego (Będzin, Modrzejów) w należących do biskupstwa krakowskiego Strzemieszycach nie wolno się było osiedlać ludności żydowskiej aż do końca epoki przedrozbiorowej (przywilej *de non tolerandis Judaeis*). Żydzi zaczęli się osiedlać w miejscowości dopiero w drugiej połowie XIX w. W okresie międzywojennym powstają liczne kopalnie i zakłady przemysłowe.

Ów pan Szujecki piękny, z gęstą – do góry czesaną na jeża – czupryną, ze starszylacheckim wąsem (był także kobieciarzem, ale o tym cicho, sza!) miał z żoną Wandą troje dzieci. Najstarszym był syn Marian, po nim córka Leonia (moja Matka!) i wreszcie syn Mieczysław.

Właśnie córka pana Czesława, Leonisia, dziewczę hoże, ładne i wesołe wpadła w oko panu Walerianowi. Mama, urodzona w Boguszach koło Grajewa 11 kwietnia 1893 roku, uczyła się w Wilnie w tzw. Instytucie Maryjskim⁴, pozostającym pod opieką samej carowej. Do przedmiotów obowiązkowych należało oczywiście granie na pianinie i mówienie po francusku. Panna Leonia na okres wakacji zjeżdżała do Granicy.

Aby było ciekawiej i romantyczniej, dodam zgodnie z prawdą, że mój ojciec miał rywala i to dość groźnego, jeśli chodzi o pozycję towarzysko – społeczną. Rywal miał jednak zasadniczą wadę – był stary! Pan Gawryłowicz, bo o nim tu mowa, był podwładnym pana Czesława. Obaj panowie często grali ze sobą w preferansa i w loteryjkę: „dziewiąta fala”.

Śliczna, kruczowłosa panienka nie znosiła pana Gawryłowicza i kiedy na horyzoncie pojawił się postawny, przystojny, z długimi wąsikami *a’la* pan Wołodyjowski, mój przyszły ojciec, rozchwytywana wychowanka Instytutu Maryjskiego, nagabywana przez pana Czesława rezolutnie odpowiedziała:

— *Nie znoszę pana Gawryłowicza! Jeśli już mam wyjść za mąż, to za tego pana Kamińskiego z wąsami.*

Chwała temu postanowieniu, bowiem dzięki niemu pojawiłem się w kilka lat później na świecie!

⁴ **Instytut Maryjski** – pełna nazwa Wyższa Szkoła Maryjska – Instytut Aleksandryjsko-Maryjski Wychowania Panien w Wilnie.

A więc wszystko potoczyło się gładko i dobrze. Pan Walerian szybko ukończył w Strzemieszycach gniazdko rodzinne, do którego wprowadził młodą żonę. Ślub odbył się 10 października 1910 roku.

Zgodnie z tradycjami rodziny Kamińskich żonka prędko zaszła w ciążę i w rok po ślubie urodziła chłopca. Po kilku dniach niemowlę zmarło, co u matki wywołało szok i anemię. Zatraskany pan Walerian leczył młodą połowicę w różnych kurortach, a przede wszystkim górskim powietrzem Zakopanego, który znał z różnych wycieczek (przypomnę, że mój ojciec był w Krakowie na uroczystościach odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego w 1910 roku ufundowanego przez I. J. Paderewskiego).

Kuracje musiały być skuteczne, bowiem 10 lipca 1912 roku urodził się mój starszy brat Tadeusz, po którym zjawiłem się ja, a wreszcie przyszła na świat 25 maja 1915 roku siostrzyczka Jadwiga.

Z imionami dzieci, jak podawała tradycja, rodzice mieli pewne kłopoty. Ale ojciec postawił na swoim – brat dostał imię bohatera narodowego – Kościuszki, a siostra nie została Urszulą (*Treny* Jana Kochanowskiego), lecz Jadwigą, od królowej, żony wielkiego Władysława Jagiełły i protektorki Krakowskiego Uniwersytetu. Tylko ja wyrosłem się od narodowych postaci. Powiedziano:

— *A no urodził się na Marcina. Niech będzie Marcin!*

Czyż mógł ktoś wówczas przypuszczać, że w pięć lat później, w dniu moich urodzin i imienin zostanie ogłoszony dzień odzyskania przez Polskę niepodległości po stu dwudziestu trzech latach niewoli? Wygrałem na znaczeniu!

A więc wszystkie dzieci państwa Kamińskich urodziły się we własnym strzemieszyckim domu. Ojciec pracował na miejscu mogąc wiele czasu poświęcać domowi i gospodarstwu, które było dość spore. Mieliśmy konia, dwie krowy, kilkanaście wieprzków i moc drobiu. Pomagała rodzicom Bronia, służąca – gospodyni, którą kochaliśmy całym sercem. Dopiero w szereg lat później wyszła za

mąż wywianowana przez rodziców, za pracownika kolejowego, pana Kocota, czy Kokota. Odejście z domu cioci Broni było dla nas wielką i smutną stratą.

Gdy wybuchła I wojna światowa, państwo Szujeccy zostali wyewakuowani w głąb Rosji wraz z najmłodszym synem. Nasza zaś rodzina „przyciąła się” w Strzemieszycach. Dzięki zapobiegliwości ojca, nie mieliśmy żadnych kłopotów zaopatrzeniowych. Nawet chleb wypiekało się w domu z własnej mąki.

Ale zaraz na początku wydarzyły się dwie tragedie, jedna mniejsza – z psem, i druga większa – ze mną. Gdy wojska pruskie zajęły pogranicze zaboru rosyjskiego, któregoś dnia przyszedł do nas Niemiec. Suka Iskra, piękna angielska seterka (lawerak), z którą ojciec polował, wyskoczyła z ujadaniem do nieproszonego gościa (nie znosiła mundurów). Prusak nie zastanawiając się wyjął z kabury pistolet i na oczach matki zastrzelił wierną sukę! Długie lata wspominało się o tym barbarzyństwie, zakasowanym przez ten sam naród spod znaku Hitlera tragicznymi zbrodniami ludobójstwa w II wojnie światowej.

Co do mnie, gdy miałem trzy latka, w domu panował, jak to w czasach wojny, rozgardiasz. Mama, by zabawić żywego chłoptysia usadowiła mnie na małżeńskim łożu, dając do zabawy duży sznur koralu z większych i mniejszych paciorków złożony. Jakim cudem potrafiłem – mały berbec – rozerwać ów sznur, nie dowiemy się nigdy. Jedno pewne – paciorki rozsypały się po kołdrze, a ja – zadowolony – począłem je upychać, gdzie się dało, w tym oczywiście do nosa i... uszu!

Na mój krzyk wpadła do sypialni mama, a zobaczywszy, co się stało, chciała mi wyjąć koral z ucha. Ten zaś, przy szamotaniu się, wszedł głębiej. Starsi porwali mnie krzepko, trzymając na stole, a mama szpilą do włosów starała się ratować sytuację. Nie udało się. Wynajęto lando, którym wśród nocy pojechaliśmy do szpitala. Tutaj lekarz zaraz mnie uspił i strugą wody wypłukał fatalny pacio-

rek. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt uszkodzenia membrany lewego ucha, na które w ogóle od owego fatalnego wydarzenia nie słyszę! Wypadek opisałem dość szeroko, bo przecież w przyszłości miałem zostać muzykiem.

Tak więc I wojnę światową przeżyliśmy względnie szczęśliwie, bez większych kłopotów materialnych i aprowizacyjnych.

Po odzyskaniu przez Polskę upragnionej i wyglądanej przez pokolenia niepodległości, ojciec już przez nasze władze przeniesiony został na stację kolejową w Dąbrowie Górniczej. Było to spore dla niego wyróżnienie, ale oddaliło ono nas od własnego domu rodzinnego, którego i tak ojciec musiał się pozbyć i to w fatalnych okolicznościach. Odezwała się bowiem po latach wojny owa ciotka Hortensja; jej to mój ojciec był winien kilka tysięcy rubli. Stara baba uparła się, by natychmiast zwrócić zaciągniętą u niej pożyczkę. Zaczęła się tak awanturować, że ojciec – uniesiony honorem – sprzedał cały dorobek kilku lat swojego życia. Transakcję podjęto oczywiście w nowej walucie, markach polskich i jak się okazało, wobec dewaluacji pieniądza, całość sprzedana została za przysłowiowe... grosze. Nabywca zrobił świetny interes, myśmy stracili wszystko, a stara, chytra ciotka musiała się zadowolić walizą pełną banknotów nie przedstawiających zasadniczo wartości. Na jej korzyść dodam, że później stale mawiała:

— *Co ja dobrego zrobiłam? Sama nic nie mam, a was puściłam z torbami!*

W Dąbrowie Górniczej zamieszkaliśmy na trzecim, a może i czwartym piętrze ceglanej, czynszowej kamienicy. Okna wychodziły na ulicę, za którą ciągnęły się tory kolejowe.

Byłem już wtedy dużym chłopcem, miałem przecież szósty rok życia. Pamiętam, że wówczas zakwaterowało się koło nas wojsko z armii generała Józefa Hallera, przybyłe z Francji. Żołnierze, ubrani w niebieskawe mundury byli weseli i stale skorzy do psot. Spacerując

po mieście wychwytywali pejsatych Żydów, którym ścinali zwijające się w korkociągi włosy.

Dom nasz był stale pełen gości. Było przecież o czym mówić i dyskutować, pijąc herbatę przy kruchych ciasteczkach. Pamiętam, jak to pewnego razu miałem iść z ojcem do fryzjera. Było te wielkie wydarzenie w życiu rodzinnym, a dla mnie chłopca duże przeżycie.

Gdy mieliśmy już iść do owego upragnionego fryzjera nadeszli goście. Co chwilkę szarpałem ojca – zniecierpliwiony – za poję tuzurka, aż ojciec sięgnął do kieszeni, wyjął banknot i powiedział:

— *Marcinku! Nie mam teraz czasu, są goście, idź sam do fryzjera!*

Tego mi było potrzeba. Ubrałem się w płaszczyk i po cichutku wymknąłem się z mieszkania. Za chwilę znalazłem się na ulicy. Dąbrowa w owym czasie była małym miastem i dość szybko znalazłem zakład fryzjerski. W zakładzie *kawaler* musiał poczekać z godzinkę, by poddać ostrzyżeniu „na zero” mocno zarosniętą łepotyńkę. W trakcie operacji, gdy dumny siedziałem na fotelu, otwary się drzwi zakładu i wpadła do niego moja najmilsza matka. Za nią pokazał się ojciec, jeden z gości i wreszcie brat Tazio.

Okazało się, że dopiero grubo po moim ulotnieniu się, gdy zaczęto dzieciom podawać smakołyki, zauważono mą nieobecność. Rozległy się nawoływania, okrzyki:

— *Gdzie Marcin, co z Marcinkiem?*

Wówczas to rozpolitykowany w dyskusji ojciec przypomniał sobie, że dał mi pieniądze na fryzjera, i że zapewne sam pomaszerowałem do zakładu. Pierwsza poczęła chlpać gosposia Bronia:

— *Jeszcze złapią Żydzi Marcinka na mace!*

Rozpoczął się popłoch i poszukiwanie mej *osoby* po całym centrum miasta. Oczywiście dość szybko mnie odszukano, bo Dąbrowa Górnicza w owym czasie miała zaledwie dwa zakłady fryzjerskie.

W Dąbrowie nie popasaliśmy długo, bowiem ojciec przeniesiony został na stanowisko zawiadowcy do Łaz położonych w pobliżu Zawiercia.

I tutaj spędziliśmy, jako dzieci, prawie cztery lata radosnego, beztrudnego życia.

Łazy⁵ już w owym czasie były sporym węzłem kolejowym, tak osobowym jak i towarowym, leżącym przecież na ważnej trasie z Zagłębia do Warszawy. W pobliżu stacji znajdowało się kilka, z carskich oczywiście czasów, budynków mieszkalnych, przeznaczonych dla rodzin kolejarskich.

W jednym z nich zamieszkaliśmy. Ojcu przydzielono także znajdujące się za podwórkiem zabudowania gospodarcze, za którymi rozciągał się dość duży ogród warzywno-owocowy. Mieszkanko składało się z kilku pokoiów: dużej kuchni, stołowego, sypialni i saloniku. Tutaj znajdowały się czarne mebelki w secesyjnym stylu, wśród których królowało pianino, marki warszawskiej – Fiedler. Na nim to często i bardzo muzykalnie grywała moja mama. Po krótkim

⁵ Łazy – pierwsza wzmianka o Łazach pochodzi z materiałów do słownika historyczno-geograficzno-fizycznego województwa krakowskiego w dobie Sejmu Czteroletniego z roku 1790. Miejscowość była wówczas przysiółkiem należącym do dóbr Rokitna Szlacheckiego. W 1790 roku w przyległości Rokitna Szlacheckiego pod nazwą „na Łazach”, wymieniony jest browar wybudowany przez Kazimierza Szenbeka, w którym pracowali Żydzi zamieszkujący w Rokitnie. W 1791 roku przy browarze wybudowano dom, w którym zamieszkały dwie rodziny zatrudnione przy produkcji piwa.

Od połowy XIX wieku Łazy zaczęły się przekształcać w osadę przemysłową. Duży wpływ na rozwój miejscowości miało wybudowanie kolei warszawsko-wiedeńskiej oraz rozwój przemysłu w rejonie Zagłębia Dąbrowskiego. W 1850 roku uruchomiono pierwszy przystanek kolejowy, a w roku 1885 istniały już dwie cegielnie, które zatrudniały mieszkańców okolicznych wiosek. W 1887 roku powstała **cegielnia Jungstera**, a w roku 1898 Fabryka Cementu Towarzystwa Akcyjnego Portland – Cement Łazy. Z tego okresu pochodzą liczne w okolicy glinianki. W 1930 roku Łazy liczyły już około 1580 mieszkańców, z których sporą część stanowiła ludność pochodzenia żydowskiego. W okolicy znajdowała się jedna z siedmiu czynnych w zaborze rosyjskim cementowni – cementownia Wysoka.

stosunkowo czasie nastąpiło zagęszczenie lokatorów, bowiem po latach tułaczki w głębi Rosji, przez Archangielsk, Londyn, Gdańsk okrętami angielskimi wrócili do kraju dziadkowie Szujeccy z synem Mieczysławem, który zaraz zgłosił się do wojska biorąc udział w wojnie polsko – bolszewickiej 1920 roku. Wyprzedzając fakty dodam, że dosłużył się rangi kapitana i w późniejszych latach był w Korpusie Ochrony Pogranicza.

W domu było więc rojno i gwarno. Mieliśmy miłych sąsiadów, podwładnych ojca, państwa Majewskich, których los obdarzył liczną gromadą córek. Siódmym dzieckiem miał być... Michaś, ale gdy urodziła się córeczka Marysia, przestali powiększać swoją rodzinę. Naprzeciwko nas mieszkali także Państwo Świecimscy, a w sąsiedniej klatce schodowej Rakowowie, pół Rosjanie, pół Polacy, którzy mieli synka Pawełka, dobrego, ale raczej nierozgarniętego i przede wszystkim pechowego chłopca.

Gdy panowie udawali się do swoich zajęć i obowiązków na kolei, a panie szykowały z trudem zdobyte, a obfite posiłki, my – właśnie owa dzieciarnia – mieliśmy zawsze wiele zadań do wykonania.

Łązy w owym czasie były małą wieściną, rozrzuconą na znacznej przestrzeni, otoczoną majątkami i wioskami. Za torami było Rokitno szlacheckie, a za naszym ogrodem Kąty, wiocha, z której liczna gromada chłopaków stale polowała na owoce, z takim trudem hodowane, w naszym ogrodzie. W okolicy ciągnęły się liczne zagajniki sosnowe, pełne grzybów i runa leśnego, a także zajęcy, na które polował z dodatnim wynikiem ojciec Walerian, posiłkując się suką Normą, piękną, choć już starą wiekiem wyłlicą krótkowłosą, umoszczoną na brązowo. Po zastrzeleniu w czasie wojny przez brutalnego Niemca Iskry, ojciec przywiózł skądś Normę, wierną sukę (nazywałem ją, tułac do wilgotnej mordy, swoją... żoną!), która pozostała u nas do swojej tragicznej śmierci, zatrąwszy się mięsem ze strychniną, wyłożoną na szczury. Suce zrobiliśmy – dzieci – wielki pogrzeb.

Pochowana została, w ogrodzie, w którym tak często wylegiwała się latem w promieniach słońca prześwitującymi przez drzewa.

W okolicy było także wiele stawów i glinianek, pełnych ryb i raków. Na tych wodach, pod opieką dziadka Czesława, zdobyłem „szlif” wędkarski, pozostając wiernym temu zamiłowaniu do chwili obecnej. Dziadek, docierający w owym czasie do ponad kopy lat życia, ongiś wielki i zamiłowany myśliwy (według tradycji rodzinnych polował w swojej młodości na niedźwiedzie w puszczech litewskich), dużo zapału poświęcał wędkarstwu, które dawało mu rozrywkę, kontakt z przyrodą i wypoczynek dla schorowanych i strudzonych nóg. Jego wielką zaletą było to, że bałwochwalczo kochał swoje wnuczki (babcia Wanda była raczej ostrożna w wyrażaniu swoich uczuć), poświęcając nam wiele czasu.

Chodziłem więc z nim razem na ryby. Za torem kolejowym na prawo od nas znajdowały się bajora po wybranej gliniance, którą dostarczano różnymi środkami lokomocji do cegielni Żyda Jungstera. Posesja Jungstera otoczona była płotem. Na małym wzgórzu stał piękny dom mieszkalny, u stóp którego rozciągał się duży staw, dobrze utrzymany, z różnymi gatunkami ryb. Tak więc z dziadkiem łowiłem namiętnie na wspomnianych gliniankach i w stawie Jungstera.

W tym względzie sprawdzało się przysłowie: „ręka rękę myje”, bowiem Jungster korzystał z transportu kolejowego, a więc mawiał:

— *Panie Szujecki, łap pan sobie w moim stawie, ile pan sobie życzy!*

O ile dziadek dysponował dobrym sprzętem wędkarskim, o tyle jego wnuczek miał takowy pozał się Boże.

Do kija leszczynowego, zakończonego szczytówką z jałowca, przyczepiony był zwykły kawałek szpagatu. Tu robiłem „przypon” z odpowiednio splecionego włosia końskiego, na którego końcu znajdował się haczyk, sporządzony z wygiętej... szpilki, z łebkiem. Oczywiście był i szałwik, wystrugany z korka od butelki wraz ze

sprytnie podłączonym gęsim piórem. Łowiłem na robaki, dżdżownice. W połowach ilościowych kładłem dziadka na łopatki, ciągnąc nieomal bez przerwy kiełbie, karasie, płocie i okonie. Czasem trafił się szczupaczek, no i szczyt marzeń – lin. Łapałem także raki, których było mnóstwo. Dziś o takich połowach nikt marzyć nie może, mając przecież sprzęt najwyższej jakości, z angielskimi klejonkami, japońskimi kołowrotkami, szwedzkimi haczykami i nylonowymi żyłkami na czele. Zatrucia wód, rabunkowa gospodarka akwenów wodnych, zniszczyły rybostany, a raków w ogóle – zdaje się – nie ma dziś w kraju na przysłowiowe lekarstwo.

Cegielnia Jungstera posiadała dla nas, chłopców, także jeszcze jedną wielką atrakcję: kolejkę wąskotorową z wagonikami – wywrotkami. Sprzęt ten służył do dowozu surowca i wywozu na stację kolejową gotowych materiałów: cegieł, dachówek, jakichś wsporników i innych. Dla nas kolejka była szczytem marzeń przygodowych. Po „szychcie”, gdy pracownicy udawali się do domów, wszystko pozostawało na placu. Trzeba było tylko umiejętnie podkraść się, odczepić wózek, popchnąć go torami na górkę, gdzie ładowano glinę, a później wskakiwało się w biegu do wózka, który z olbrzymią szybkością (jak dla nas) toczył się w dół, aż do miejsca, gdzie wyładowywano glinę. Piszę o tym z tego względu, że i tu zdarzyła się przygoda, która mogła przesądzić o moim losie i mojej przyszłości. Pewnego razu wszystko odbywało się według ustalonego planu. Nawet nie wiem kiedy i w jakich okolicznościach doszło do zgniecenia mojego środkowego palca prawej ręki. Chłopcy twierdzili później złośliwie i w żartach, że chciałem zatrzymać palcem rozpedzony wózek i stąd zdarzył się wypadek. Żart żartem, ale gdy krew pokazała się strumieniem z powstałej rany, zabawa została przerwana i pobiegliśmy na stację kolejową, gdzie mieścił się punkt sanitarny dla rannych żołnierzy, przywożonych masowo z frontu działań wojennych (1920 roku). Dyżurujący felczer zrobił mi opatrunek, nie zwracając uwagi, że na skutek zmiążdżenia nastąpiło uszkodzenie kości palca

i zdeformowanie paznokcia. Zdezynfekował, zawinął bandażem i – koniec. Kto by się wówczas przejmował taką drobnostką, gdy dziesiątki, setki rannych wymagało stałej lub doraźnej pomocy. Ale – jak mawiano – wszystko goiło się na mnie, jak na psie. Po kilku tygodniach opatrunek w ogóle nie był potrzebny. Chory palec stał się tylko krótszy o około 12 milimetrów, no i na końcu był znacznie grubszy, z kompletną deformacją paznokcia. I tak zostało mi na całe życie. A przecież miałem zostać muzykiem, pianistą.

Owe lato obfitowało i u nas w lokalne „wojny”. W sadzie owoców było sporo, chętnych do ich kradzieży wielu (chłopcy ze wsi Kąty). Postanowiliśmy zabawić się w obrońców prawa i porządku. Dyrygentem dość skomplikowanych poczynań był przecież już osiem lat liczący brat Tadzio, wyrosły nad podziw, jak na swój wiek. Postanowiliśmy pobudować w ogrodzie... zamek – warownię. Na to potrzebne były cegły od pana Jungstera. Chłopcy maszerowali do cegielni, zbierali tam cegły i każdy z nich, na miarę swoich sił i możliwości, tachał na podółku po kilka cegieł. Cegieł podebraliśmy dość sporo, ale ja tak się sforsowałem, że wieczorem „po dniu pracy” wróciwszy do domu, padłem na podłogę z wyczerpania. Okazało się, że dostałem przepukliny pachwinowej. Jak pech to pech. Ale jakoś wróciłem do formy i robiłem swoje dalej, z tym, że operacji przepukliny (*hernia scrotalis dextra*) poddałem się dopiero po... zwolnieniu z pełnienia służby wojskowej, w 1935 roku.

W każdym bądź razie ów wymarzony przez dzieci „zamek” stanął. W międzyczasie porobione zostały proce, dziewczęta nagromadziły kamyków, przeznaczonych na amunicję, a także przygotowały środki opatrunkowe. Nasza kochana Jadziunia z ważną minką spacerowała z wata, bandażem i buteleczką jodyny, by opatrywać „rannych”. W decydującym okresie schowaliśmy się w zamku, a gdy złodzieje jabłek i gruszek powłazili na drzewa wyskoczyliśmy z wielkim oczywiście krzykiem grzejąc do amatorów owoców z owych proc – kamykami. Zabawa była setna i na wielką skalę. Zakończyła

się jednak niezbyt fortunnie i to znów z mojej przyczyny. W trakcie utarczek i gonitw Pawełek Raków obraził siostrę miłosierdzia – Jadziunię. Wyzwałem chłopca na... pojedynek. Takowy odbył się zgodnie z ustalonym ceremoniałem, z tym, że pistolety, szable zamienione zostały na kamienie, którymi mieliśmy ciskać do siebie aż do pierwszej krwi. Odległość około 15-20 metrów. W trakcie rzutu nie wolno było się poruszyć, w obawie utraty czci i honoru. Oczywiście pierwszy rzucił Pawełek, jako wyzwany – spudłował. Mój pierwszy rzut był celny. Pawełek, trafiony w sam czubek głowy padł na ziemię, jak gromem rażony. Zaraz całą twarz i koszulkę miał zalaną krwią. Głowę straciły nie tylko siostry miłosierdzia, ale i świadkowie pojedynku byli bezradni. Na potworny krzyk Pawełka: „zabili, zabili”, przyleciała pani Rakowowa i zabrała chłopca do domu, gdzie wnet uspokoił się. Rana nie była tak groźna. Ze strachem czekałem na powrót ojca. Ten zaś, miał dać mi w skórę, aczkolwiek pojedynek odbywał się zgodnie z ustalonymi przepisami, wyznaczył najgorszą karę: kazał ubrać się ładnie i iść do państwa Rakowów z przeproszeniem, co oczywiście zrobiłem. Pawełek nie miał do mnie żalu. Jedno pewne, że gdyby mnie trafił, zniósłbym to mężnie, bez lamentów i wrzasków. Honor Jadzi został uratowany!

Gdy już odgłosy wojny ucichły i walczące strony zawarły rozejm, nadeszła Gwiazdka 1920 roku. Obywatele Łaz postanowili w dość dużej, tamże znajdującej się sali, urządzić jasełka. Do zespołu powołany zostałem ja. Miałem donośny głos (dziadek nazywał mnie pieszczotliwie garłastym) i byłem pewny siebie. Rolę wyznaczono mi dość skromną. Z „mamą” (była nią chyba 16-letnia dziewczynka), jako sierota, miałem leżeć w wieczór wigilijny pod płotem. Z daleka dochodziły odgłosy rozpoczynających się kolacji świątecznych, a my głodni czekaliśmy na zmiłowanie Pana Boga. Do moich zadań należało pojękiwanie i mówienie płaczącym głosem:

— *Mamo, chleba, jestem głodny!*

„Mama” oczywiście miała mnie uspokajać i pocieszać, że Pan Bóg się nad nami zlituje. W pewnym momencie wyskakiwał diabeł z widłami wrzeszcząc: *A dziady! Zabieram was do piekła*. Podkładać miałem pod moje podarte portki diabelskie widły, środek lokomocji do piekła. I kiedy już miał odnieść sukces, rozsuwała się ściana, z której – odpowiednio oświetlona – wysuwała się piękna, bielutka ze lśniącymi skrzydłami anielica. Ta odganiała przerażonego diabła, otaczała nas skrzydłami i unosiła do nieba, do wiecznej szczęśliwości. Piękna scena!

Wreszcie nadszedł dzień pierwszego występu w moim życiu. Na jasełka szli wszyscy domownicy: dziadkowie, rodzice, Jadzia i Tadzio (nie wspominam o sąsiadach!). W domu pozostała tylko rozżalona Norma. Nawet ciocia Bronia chciała zobaczyć, *jak to Marcinek będzie wyglądał na scenie*.

Na sali były tłumy. Wesołość mieszała się z okrzykami. Przecież prawie wszyscy dobrze się znali. Wygaszono światła. Zaczęło się przedstawienie i po pewnym czasie, scena ze mną – sierotą. Grałem ponoć bardzo dobrze, bo moje lamentsy o chleb były przejmujące. I kiedy doszło do spotkania z diabłem, stała się rzecz nieprzewidziana w scenariuszu. Podczas wrzasków, gdy diabeł ładował mnie na widły, nagle na końcu sali z bulgotem i szczekaniem pojawiła się, jak burza, kochana Norma. Przebiegła między rzędami, dała susa na scenę i dobrała się do portek diabła, który prawie goły zaczął umykać za scenę. Ja, pełen szczęścia, skoczyłem do suki, porwałem ją w objęcia. Sala śmiała się, wyła z uciechy i biła brawo. Po chwili wszystko się uspokoiło. Norma została przywiązana do krzesła, na którym w rzędach siedział ojciec i już spokojnie obserwowała przedstawienie, w którym sobie tak dzielnie poczynął jej przyjaciel, „sierotka” Marciniek. Gdy wróciliśmy do domu okazało się, że drzwi w pośpiechu nie zostały zamknięte na klucz. Norma łapami otwarła je i po tropie dotarła do sali widowiskowej, a zoczywszy co robią ze mną, skoczyła na ratunek. Dobrego i wiernego psa nie ma już sześć-

dziesiąt lat na świecie, ale pozostał on w mojej wdzięcznej pamięci, jako nie dający się niczym zastąpić przyjaciół.

Z Łaz pamiętam jeszcze jedno znamienne wydarzenie. Po długim okresie przygotowań, w dawnym ambulatorium koło stacji kolejowej, otworzono szkołę, do której oczywiście zapisano brata Tadzia. Jako młodszy naukę miałem rozpocząć rok później. Opanowany zazdrością, nie tyle może łaknieniem wiedzy, postanowiłem zapisać się do szkoły... sam. I kiedy w dniu rozpoczęcia nauki, we wrześniu 1921 roku, triumfalnie odprowadzano Tadzia do szkoły, zmyliwszy uwagę wszystkich, pomknąłem boczną drogą w stronę stacji kolejowej. Gdy cały orszak z Tadzkiem na czele dotarł wreszcie do szkółki, zastano mnie już spokojnie siedzącego w ławce. Nie pomogły żadne tłumaczenia, perswazje, nawet użycie siły, nie dałem oderwać się od ławki, aż wreszcie znajoma nam dobrze nauczycielka powiedziała:

— *Proszę zostawić Marcinka. To duży już chłopczyk i na pewno da sobie radę z nauką!*

Tak rozpocząłem edukację z bratem Tadeuszem, starszym przecież ode mnie o szesnaście miesięcy. Oczywiście wieść o moim wyczynie rozniosła się wśród znajomych... Mawiano wówczas:

— *Marcinek rwie się do nauki. Wyrośnie z niego jakiś naukowiec.*

W tym to czasie u naszych sąsiadów, państwa Majewskich rozpoczął się ów jakiś podejrzan, dla nas dzieci, ruch. Najpierw zauważyliśmy, że pani Majewska zaczyna robić się jakaś tęższa, i że panowie, zasiadając do preferansa wypijali po kieliszku anyżówki, mrużąc do siebie: *no to pod Michasia*. Panie zaś zamykały się w pokoju pani Majewskiej, w oczekiwaniu na... bociana, którego nam obiecywano. Bociana nie widzieliśmy, ale przyszła chwila, gdy w mieszkaniu państwa Majewskich usłyszeliśmy płacz i kwilenie maleństwa. Sprawa wnet wyjaśniała się, bo panowie z ponurymi minami zajmowali miejsca przy zielonym karcianym stoliku, wypijając po kieli-

szeczku za zdrowie nowej, siódmej już córeczki. Jak wspomniałem, było to ostatnie dziecko znacznych państwa Majewskich, którzy skapitulowali nie mogąc doczekać się upragnionych urodzin następcy domowego tronu.

Wreszcie wczesną jesienią 1922 roku doszło do z dawna wyglądanej przez nas przeprowadzki do Sosnowca, gdzie ojciec obejmował stanowisko zawiadowcy pierwszej klasy. Wśród ogromnego napięcia, pakowania rzeczy, rzewnych pożegnań, szykowaliśmy się do przenosin. Kolacja po raz ostatni spożywana w Łazach miała odbyć się u Państwa Majewskich. Gdy wszyscy sadowili się do stołu, ja na osobności, w skupieniu i smutku żegnałem się ze swoją sympatią. Była nią kuzyneczka Państwa Majewskich z Zawiercia – Marysia – dziewczynka milutka i uroczą, starsza ode mnie o kilka tygodni. Lubiliśmy się bardzo, jako dzieci. Mając zawsze bujną fantazję podarowałem Marysi swoją fotografię w... starszym wieku.

Podczas kolacji długo siedząca w skupieniu Marynia, nie wytrzymała nerwowo i powiedziała:

— *A Marcinek dał mi na rozstanie swoją fotografię w starszym wieku!*

Dzieciom zaimponowałem diabelnie, ale starsi uśmiechnęli się dobrotnie sącząc wino z kielichów. Tylko moja mamunia ciekawie i podejrzliwie powiedziała:

— *Marysiu pokaż nam ową fotografię.*

Marysia wyjęła z kieszonki fatalne zdjęcie, na którym w mundurze legionisty pięknie prezentował się jakiś młodzian. Mama skoczyła, jak oparzona:

— *Oddaj, to zdjęcie z mojego albumu, to porucznik, któremuśmy Walek, uratowali życie.*

Marysia rozpląkała się, ja milczałem skonfundowany, a przebrzydły Tadzio uśmiechał się triumfalnie...

Aby obraz naszego pobytu w Łazach był pełniejszy przypomnę tu jeszcze dzień pierwszego maja 1922 roku, w którym moja siostrzyczka Jadzia odegrała znamienną rolę. Jak co roku owego dnia wyszliśmy na drogę, by patrzeć na pochód pierwszomajowy. Tłum ludzi ze sztandarami, orkiestrą dętą maszerował od kilku lat tą samą drogą z cementowni Wysoka do Łaz, w pobliżu naszego domu.

Była to dla nas, dzieci, wielka i piękna atrakcja. Gdy tak przyglądaliśmy się pochodowi owego dnia w 1922 roku, siostrzyczka Jadziunia szarpnęła z przejściem ojca za poję płaszcz i z pełną powagą spytała się:

— *Tatusiu, czy pepeesiaki w zimie są?*

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a przecież pytanie dziecka było rozsądne; tylko owego dnia, a więc na wiosnę, robotnicy zbierali się i maszerowali w pochodzie. Takie oto skojarzenia i myśli rodzą się w umysłach dzieci.

Wrócę jednak do przeprowadzki.

Po wspomnianej kolacji u państwa Majewskich, która zakończyła się tak sromotną moją klęską, zaraz następnego dnia rano zjawiała się gromada ludzi z kilkoma zaprzęgami konnymi. Rzeczy prędko zniesiono, załadowano na wozy i powieziono na stację kolejową. Tu już czekał wagon towarowy, który po wypełnieniu naszym dobytkiem, doczepiony został do składu pociągu osobowego.

Z Łazami żegnaliśmy się jako dzieci z wielkim żalem, ale samą przeprowadzkę – jak każde wyruszenie w drogę – z dużym napięciem nerwowym znosiła babcia Wanda Szujecka. Zawsze przed podróżą przez szereg godzin czekała gotowa już do drogi, ubrana na czarno. Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, że była to pozostałość głębokich przeżyć doznanych w tragicznych dla niej latach wędrówek i ucieczek w I wojnę światową po bezbrzeżnych przestrzeniach rosyjskich.

Po przybyciu do Sosnowca i prowizorycznym rozlokowaniu się w tymczasowo przydzielonym mieszkaniu przy ul. Józefa Piłsudskiego, babcia Wanda zachorowała i zaraz zmarła na aneuryzm serca, jak się wówczas mówiło. Było to dla nas tragiczne nieszcście.

Telegramami zostali powiadomieni synowie. Wujek Marian przyjechał z Radomia, pełen powagi i dostojności. Całkiem inaczej zachował się wujek Mieczysław (miał wówczas 27 lat, był dobrze zbudowanym, lecz krępej budowy człowiekiem). W przedpokoju zdjął płaszcz, odpiął pas z szablą i kaburę z pistoletem. Z twarzą bladą i nieruchomą przeszedł przez pokój stołowy, by za chwilę znaleźć się w następnym pokoju, w którym na prowizorycznym katafalku spoczywały zwłoki jego matki. Mietek załamał się, padł na podłogę i długie godziny leżał bez ruchu.

Od owej chwili upływa obecnie sześćdziesiąt lat, a pamiętam ją, jakby dzisiaj miała miejsce, tyle w niej było ludzkiego żalu i głębokiego przeżycia.

W kilka tygodni po pogrzebie przeprowadziliśmy się do obszernych apartamentów przydzielonych przez kolejnictwo ojcu na dworcu Sosnowiec Główny. Piszę apartamentów, bowiem mieszkanie, bez strychu, piwnicy, miało łącznie około 280 metrów kwadratowych powierzchni. Pokoje były ogromne, a pokój „chłopców” nadawał się niczym małe boisko do gry w piłkę nożną. W naszym pokoju zamieszkał oczywiście dziadek Czesław. Mimo podeszłego wieku objął on stanowisko w urzędzie Komory Celnej, która w owym czasie miała swoją siedzibę po drugiej stronie torów kolejowych dworca. Dla nas, chłopców, rajem było ogromne pomieszczenie strychowe. Tutaj to chowaliśmy z dużym zamięłowaniem w terrariach i akwariach różnorodne stworzenia wodne i lądowe. W osobnych skrzynkach pomieszczenia miały modne wówczas świnki morskie, które zginęły śmiercią tragiczną zagryzione przez kundelka sąsiadów, państwa Wiciejewskich, na którego wołaliśmy Topek.

Po zainstalowaniu się w Sosnowcu, Tadzio, we wrześniu 1923 roku zapisany został, jako starszy, do Gimnazjum im. Stanisława Staszica⁶ do klasy pierwszej. Mnie zaś ulokowano w Szkole Powszechnej im. Tadeusza Kościuszki, z zaliczeniem do klasy czwartej. Na wybór szkół wpłynął też fakt, że Tadzio idąc do gimnazjum na ulicę Żeromskiego (tramwajów jeszcze wówczas nie było w Sosnowcu) zostawiał mnie po drodze w szkole powszechnej. Opieka była więc zapewniona. Nauka w owej szkółce szła mi znakomicie, bowiem kierownik, za zarazem nauczyciel szkoły, pan Kochan stawiał mi same piątki. Był to sympatyczny, jowialny starszy pan często grywający z ojcem w ulubionego preferansa. Ta pobłażliwość spowodowała, że w gdy w następnym roku szkolnym znalazłem się w znakomitym gimnazjalnym gronie u staszicaków, zaraz wylano na mnie przysłowiowy kubeł zimnej wody. Wychowawczynią pierwszej klasy była *ciocia globus*, czyli nauczycielka od geografii, zacna pani

⁶ **Gimnazjum Męskie im. Stanisława Staszica w Sosnowcu** (dzisiejsze Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica) – powstało w 1894 r. jako Szkoła Realna założona za przyzwoleniem władz rosyjskich, pod której zaborem był Sosnowiec.

Po zakończeniu wojny i odzyskaniu niepodległości (9.09.1919 r.) Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego uznało szkołę jako państwową i nadało jej nazwę **Gimnazjum Państwowe im. S. Staszica** z siedzibą w okazałym budynku dawnej Szkoły Realnej. Rozpoczęto naukę, jednak ze względu na trwającą na Śląsku walki często uczniowie starszych klas szkoły zaciągali się do oddziałów powstającego Wojska Polskiego, zaś część ochotników przedostała się przez kordony graniczne, by walczyć o polski Śląsk. Wśród bohaterskich powstańców był późniejszy śpiewak Jan Kiepura. Dwaj uczniowie: Edward Stacherski i Stanisław Latosiński poległ w walce.

Mimo upaństwowienia szkoły nauka w szkole była płatna. Opłata na rzecz szkoły była wysoka, równa miesięcznej pensji dobrze zarabiającego urzędnika. Wysoki poziom szkoły zapewniał rzetelne przygotowanie uczniów zarówno do studiów wyższych, jak i do pracy. Stało się to możliwe dzięki znakomitym nauczycielom i wychowawcom, wśród których należy wymienić dyrektora **Tadeusza Nowakowskiego**. Znani wychowankowie to: Mieczysław Wolfke – wybitny fizyk, odkrywca ciekłego helu, Leonard Danielewicz i Tadeusz Heftman – konstruktorzy maszyny deszyfrującej Enigma.

Wójcicka. Była to stosunkowo niska, korpulentna, dość zabobonna stara panna, o głębokim i pełnym szlachetności sercu. Co ważne – miała nowoczesne poglądy na naukę i wychowanie.

No to, gdy minął pierwszy okres nauczania, zgodnie ze swoimi założeniami dydaktyczno-wychowawczymi odbyła naradę z uczniami informując o wynikach nauczania. Na liście według alfabetu byłem trzynasty (fatalna liczba). Przed wyczytywaniem not byłem jednak kompletnie spokojny. Aż wreszcie pani Wójcicka:

— *A teraz Marcinek! Czekaj, czekaj, jak ci tu odczytać noty. Sprawowanie – piątka (wypiąłem się dumnie stojąc w ławce), religia – trójeczka (mina wydłużyła mi się), a reszta no, no – same dwójeczki (załamałem się zdruzgotany). No Marcinku, poproś tatusia, by jutro po lekcjach koniecznie przyszedł na rozmowę ze mną.*

Trochę lepiej, ale również słabo zaprezentował się na pierwszy okres Tadzio, który w owym czasie był już w drugiej klasie.

Przyczyną *nieszczęścia* było oczywiście to, że zajmowaliśmy się w owym czasie wszystkim, a najmniej nauką. Sosnowiec dla nas chłopców, miał wiele i to nowych, wielce ciekawych atrakcji. Stale pod opieką dziadka chodziliśmy na seanse do kin *Zagłoba* i *Sfinks*, oczywiście na pierwsze, czyli o godzinie 15.30. Dziadzio w trakcie wyświetlania filmu niemego i słuchania nieskoordynowanej w brzmieniu *orkiestry*, na którą składały się pianino, skrzypce i jakaś perkusja, spokojnie zasypiał.

Trójka wnucząt nie budziła dziadka. W ten sposób dzieci oglądały kilka seansów (do kin znajdujących się w rękach prywatnych właścicieli wchodziło się w trakcie trwania filmów i wychodziło się z sali kiedy kto chciał). Tak więc kino zajmowało nam wiele czasu. Drugą przyczyną braku chęci do uczenia się było nasze rozczytywanie się w tzw. brukowej literaturze. W kilkugroszowej edycji ukazywały się małe zeszytiki *sensacyjnej literatury*, w których królowali Eddie Polo, Pinkerton, Harry Piel, świetni humoryści Pat i Patachon. Do tego

dochodziły książki Karola Maya, Coopera czy Londona. *Egzemplarze* literatury krążyły po szkole, po klasie, trzeba było szybko czytać i przekazywać dalej. Ojciec zawsze wieczorem wchodził do pokoju chłopców, a zobaczywszy, że dziadek Czesław już śpi, a my sobie czytamy jakieś bzdurne książki, wyłączał w pokoju światło i kazał spać. My, grzeczni i potulni, mówiliśmy: *dobranoc*, nakrywaliśmy się kołdrami i... po chwili zapalaliśmy baterijki, by przy ich świetle dalej rozkoszować się sensacyjnymi wyczynami naszych bohaterów. Stąd sypały się dwóje, a co gorsza zniszczyliśmy sobie oczy. Rodzice zauważywszy, że coraz bliżej czytanej książki trzymam oczy zaniepokoiłi się i poprosili na wizytę doktora Mońkowskiego, który zbadał mój wzrok i powiedział:

— *Ho, ho! Wzrok Marcinkowi znacznie się osłabił. Trzeba dać oczom trochę odpoczynku. A teraz zapiszę okularki, ponosi je Marcinek dwa, trzy miesiące, oczki się wzmocnią i wszystko będzie dobrze.*

Przepowiednia zanego lekarza nie spełniła się. Do dziś noszę okulary...

W tym roku szkolnym, gdy byłem w drugiej klasie zdarzył się znów nowy, a niespodziewany wypadek. Było to jeszcze przed wymianą waluty: marek na złote, wiosną 1924.

Pewnego dnia rodzice wybierali się do znajomych z wizytą. Mama wychodząc powiedziała:

— *Chłopcy, nie pozabijajcie się. Bądźcie grzeczni. W razie czego niech Bronia da znać do państwa Jurzyńskich.*

Poszli.

A my, pozostawieni na *gospodarce* zabraliśmy się do działania, w wyniku którego spadłem podczas wspinania się z futryny drzwi i złamałem fatalnie prawą rękę.

Przerażony zamknąłem się na klucz w stołowym pokoju. Na per-swazję wezwanych rodziców i obietnicę, że nie dostanę w skórę, zde-

cydowałem się otworzyć drzwi. Zaalarmowany doktor Mońkowski stwierdził fatalne rozbicie kości łokcia, założył prowizoryczne łupki i kazał zaraz jechać do Warszawy, bowiem tylko w stolicy znajdował się w gestii resortu kolejowego jedyny aparat rentgenowski do prześwietleń. Tak oto nocnym pociągami – ku zazdrości innych dzieci – pojechałem po raz pierwszy do Warszawy. Ojciec celem zabezpieczenia się przed niespodziewanymi wydatkami zabrał ze sobą walizę banknotów, około 36 milionów marek (ten fakt pamiętam bardzo dobrze). Tak, tak byliśmy wówczas – jedyny raz w życiu – milionerami.

W stolicy zaraz poddano mnie badaniu – prześwietleniu – i chirurg, ku przerażeniu rodziców oświadczył, że trzeba dokonać amputacji ręki powyżej łokcia. Na pocieszenie dodał:

— *Zalozymy świetną protezkę i wszystko będzie dobrze.*

Mój jednak mądry ojciec oświadczył w zdecydowanej formie:

— *Na amputację nie zgadzam się. Lepsza najgorsza własna ręka od najlepszej protezy!*

Pogmerano mi wśród odłamków kości łokcia i założono osłonę gipsową na zgiętą rękę, a tą zawieszono na temblaku. Podczas pobytu w Warszawie kochani rodzice starali się jak najbardziej urozmaicić mi życie. Mieszkaliśmy w hotelu *Polonia* w pobliżu wielu wspaniałych sklepów. Oczywiście rodzice zakupili dla swoich „milusińskich” drobne prezenty, w tym wspaniałe kręgle, które kosztowały około... półtora miliona marek!

Po powrocie do Sosnowca stałem się przedmiotem zazdrości kolegów z wielu względów: raz, że byłem w stolicy, dwa, że nie potrzebowałem odrabiać lekcji pisemnych. Zacni nauczyciele litując się nad pechowym Marcinkiem, podczas pytań ustnych, traktowali mnie ulgowo, Dzięki czemu wykaraskałem się z dwój i dość gładko przeszedłem do klasy drugiej.

Dodam, że podczas leczenia złamanej ręki, dość często jeździłem z mamą do Warszawy na konsultacje. Ręka oczywiście zrosła się znakomicie, pozostając jedynie krzywą na całe życie, a w praktycznym zastosowaniu znacznie krótszą od ręki lewej. Prędko jednak przystosowałem się do jej wszechstronnego używania. Lekarze w stolicy, z rozmów prowadzonych z mamą oczywiście, zaraz dowiedzieli się o mojej przepuklinie. Chirurg, który tak zabiegał o amputację mej ręki, chcąc zapewne wykazać się znajomością innych rzeczy w swoim fachu, zaproponował, że przy okazji należy Marcinka poddać operacji, na co mama wyraziła zgodę. Koniecznym jednak było podpisanie przez nią deklaracji, że zgadza się na odbycie operacji, jak i na ewentualne jej konsekwencje. Rozmowę, już jako pacjent szpitala, podsłuchałem sprytnie przez dziurkę od klucza (moje prawe ucho było niezawodne). Nic nikomu nie mówiąc wymknąłem się ze szpitala w białym stroju pacjenta. A kiedy mnie odszukano w sąsiedniej bramie, nie zgodziłem się wrócić do szpitala. Przyniesiono więc mi garniturek i kiedy przebrałem się w bramie, o powrocie do szpitala nie było już mowy.

Tak więc przechodząc do klasy drugiej dogoniłem brata Tadeusza, który – z powodu oczywiście złośliwości nauczycieli – musiał repetować program drugiej klasy. Zacni rodzice, a przede wszystkim najlepszy z najlepszych pod słońcem dziadek Czesław, zaaranżowali nam letni wypoczynek aż w dalekich Boguszach koło Grajewa, w których na granicy z Prusami Wschodnimi strażnicę KOP-u prowadził wujek Mieczysław. Wypoczynek był wspaniały. Do największych atrakcji należało łowienie ryb w rzece przepływającej w pobliżu naszego miejsca zamieszkania, a także asystowanie wujowi w polowaniu na dzikie kaczki i bekasy, których było tam na rozlewiskach rzeki mnóstwo.

Rok szkolny 1925/26 zaczynał się w moim życiu wielu niefortunnych wydarzeniami. Najpierw wspomnę w kilku słowach

awanturę, jaką przeżyłem w związku z pobiciem klasowego kolegi Andrzeja Dietla.

Dietlowie⁷ przyjechali z Niemiec do Sosnowca w połowie XIX wieku i przez kilka pokoleń dorobili się ogromnego majątku zakładając przy obecnej ulicy Żeromskiego wielkie zakłady dziewiarskie. W parku stanęły pałace, a także – symbolicznie – ruiny zamku, niby siedziby ich arystokratycznych przodków. Oni to u progu XX wieku pobudowali piękny gmach, w którym siedzibę znalazło gimnazjum im. Stanisława Staszica. Obiekt ten Dietlowie podarowali władzom carskim w podziękowaniu za zaznane dobrodziejstwa od Rosji.

Młodych Dietłów było w gimnazjum kilku, w tym w mej klasie byli Andrzej, Ludwig, a niższej Klaus. Wyprzedzając wypadki dodam, że w latach okupacji Dietlowie zadeklarowali się po stronie Niemiec hitlerowskich i przyjęli Reichsliste!

Wróćmy jednak do jesieni 1925 roku. Miałem już wówczas prawie dwanaście lat. Byłem chłopcem drobnym, niesprawnym fizycznie, ale czupurnym, bojowym. I oto pewnego razu Andrzej Dietel, po dwutygodniowej nieobecności w szkole, pojawił się na lekcjach. Jak doszło między nami do starcia, trudno dziś przypomnieć sobie w szczegółach. Jedno pewne, że dumny i pewny siebie Andrzej, którego odwożono do szkoły landem zaprzężonym w parę pięknych koni, przy odległości około 200-300 metrów od domu, przygadał mi, że wywodzę się z kiepskiej rodziny, że Polacy to dziady i nieroby, że oni – Dietlowie – pokazują się z najlepszej strony, jak się pracuje i robi majątek. Ja oczywiście zacząłem mu wymyślać, że dorobili się na polskiej ziemi, że są krwiopijcami i wyzyskiwaczami. Od słowa

⁷ **Henryk Dietel** – fundator Szkoły Realnej w Sosnowcu – pierwszej szkoły średniej w Zagłębiu Dąbrowskim, założyciel pierwszej w Królestwie Polskim przędzalni (1879). Działalność przemysłowca spowodowała duże uprzemysłowienie i rozwój ówczesnej wsi Sosnowiec, która w 1902 roku stała się miastem. Po śmierci założyciela (w 1911 roku) fabryką zarządzali jego synowie, jednak czasy świetności przędzalni skończyły się wraz z I wojną światową.

do słowa, przy aprobacie klasy, wzięliśmy się za łby. Andrzej, znacznie wyższy ode mnie, zasunął mi kuksańca, aż okulary poleciały mi z nosa. W zwarciu palnąłem go w dolną partię brzucha. Andrzej padł, jak gromem rażony i stracił przytomność. Na ustach pokazała mu się krew. Podniesiono alarm. Za chwilę zjawili się Dietlowie, oczywiście z powozem, lekarze, sanitariusze z noszami. W gimnazjum zrobiło się piekło:

— *Marcin Kamiński, taki spokojny chłopak, z dobrego domu, zabił nożem Andrzeja Dietla!*

Incydent komentowano wszędzie: w pokoju nauczycielskim, na korytarzach, w klasach, nawet w służbówce woźnych. Ja zaś – ponury – siedziałem w ławce i czekałem na decyzję. Brat Tadeusz oraz grupka zaufanych kolegów czekała również w zatroskaniu na decyzję w mej głośniejszej sprawie.

Wreszcie zjawił się w klasie woźny Turliński i powiedział:

— *Marcin Kamiński do gabinetu dyrektora!*

Dyrektorem był szanowany przez nas wszystkich pan Tadeusz Nowakowski, potężnej postury mężczyzna, liczący około pięćdziesięciu lat życia. Nowakowski znany był ze swojego patriotyzmu. W latach carskiej niewoli, aczkolwiek matematyk z wykształcenia, znał na pamięć całego *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza recytując poszczególne fragmenty poematu na wrywki, co pozostało jego hobby do końca życia.

Gabinet dyrektora Nowakowskiego mieszczący się na partezie dużego gmachu szkolnego był otoczony aureolą tajemniczości i nimbem olimpijskiej wyższości. Na palcach jednej ręki można było policzyć uczniów, którzy przekroczyli próg gabinetu dyrektora.

Gdy z duszą na ramieniu wszedłem do gabinetu dyrektora, wprowadzony przez woźnego, który zaraz ruchem ręki został odda-

lony, dyrektor zza swojego biurka przez jakiś czas patrzył się na mnie groźnym wzrokiem, by wreszcie wybuchnąć:

— *Jak śmiałeś tak pobić kolegę. Czy ty wiesz, że jest właśnie w szpitalu, gdzie przeszedł poważną operację! Mogłeś go zabić! Tu morderców nam nie potrzeba! A przecież jesteś z porządnej rodziny. Kto cię nauczył takiego zachowania? Wyrzucam cię ze szkoły natychmiast, w tej chwili!*

Zdruzgotany decyzją bez wysłuchania moich racji, stałem jak skamieniały, by wreszcie wybuchnąć spazmatycznym płaczem, którego echa musiały niewątpliwie docierać na korytarz. Dyrektor Nowakowski, człowiek o zacnym sercu zbaraniał, podniósł ręce do góry, na co ja wzmogłem swoje lamenty. Dyrektor, przemyślawszy widocznie swoją decyzję, rozkazał mi iść do kąta i tam klęczeć. Po dłużej, jak wieczność chwili, krzyknął do mnie:

— *Chodź no tu do mnie i opowiedz, jak to było?*

Pochlipując opowiedziałem, jak to Dietel wychwalał się bogactwem swojej rodziny, jak to pogardliwie odzywał się o Polakach, jak w kłótni stanąłem w obronie imienia mojego dziadka, jak wreszcie – pewny swego – trzepnął mnie w głowę, za co oddałem mu w brzuch. Tyradę swoją zakończyłem stwierdzeniem, że w całej klasie nikt nie wiedział o operowaniu Andrzeja.

Dyrektor Nowakowski:

— *A więc to tak było! Nie kłamiesz? Daję ci dwa tygodnie karnego urlopu. Wracaj do kąta!*

Lamenty moje znów ruszyły crescendo.

Dyrektor Nowakowski zadzwonił na woźnego i gdy ten zaraz zjawił się (widocznie podsłuchiwał pod drzwiami), rozkazał:

— *Panie Turlínski niech zaraz tu przyjdzie starszy Kamiński.*

Za chwilę brat Tadeusz w wyczerpujący sposób opowiedział, co i jak zaszło w klasie i podał nazwiska kilku kolegów, którzy byli przy całej awanturze i widzieli, że Marcin zaatakowany uderzył przeciwnika pięścią, a nie nożem, jak to się opowiada teraz w całej szkole. Dyrektor Nowakowski, wysłuchawszy Tadeusza, powiedział:

— *Idźcie do klasy, a jutro niech przyjdzie na rozmowę ojciec!*

Przez kilka dni toczyła się wojna. Wpływowi Dietlowie domagali się wydalenia mnie ze szkoły. Rada pedagogiczna podzieliła się na dwa obozy, gimnazjum huczało od komentarzy. Wszystko ucichło, gdy po kilku dniach cały i zdrowy Andrzej Dietel pokazał się w klasie.

Wyprzedzając wypadki dodam, że w latach drugiej wojny światowej i okupacji hitlerowskiej Dietlowie – Reichsdeutsche, mogli się na mnie zemścić śmiertelnie, nie uczynili tego jednak. A przecież lata wojny spędziłem w Sosnowcu, prawie pod bokiem ich fabryki i pałacu. W każdym bądź razie w klasie drugiej, mimo nimbu bohatera, który począł mnie otaczać, nie wiodło mi się dobrze. Zaczęły się sypać dwóje grożące koniecznością repetowania roku szkolnego.

Sytuację niewątpliwie pogłębiły rosnące w kraju napięcia polityczne, które doprowadziły do znanych w historii wypadków majowych 1926 roku. Kto się wówczas przejmował sprawami dzieci, czy odrobiły lekcje, czy były w ogóle w szkole?

W czerwcu sytuacja unormowała się i rodzice, w nagrodę za rok nauki, postanowili, że na lato pojedziemy do Węgierskiej Górki. Dziadek Czesław przystąpił do kompletowania przyborów wędkarskich, no i na moje nalegania obiecał, że kupi mi wędkę bambusową, szczyt marzeń. Wędka miała kosztować w nowych złotówkach zawrotną sumę trzydziestu złotych. Niefortunnie sprawa prezentu – nagrody wyszła na światło dzienne podczas obiadu. Wywiązała się dyskusja. Ojciec do dziadka:

— *Proszę ojca nie kupować Marcinowi żadnego prezentu. On na to nie zasługuje. Zostanie w tej samej klasie!*

Ostro zaprotestowałem:

— *Tatusiu! Ostatnio poprawiłem kilka stopni, przejdę na pewno do trzeciej klasy!*

— *A jak nie przejdiesz?*

— *Przejdę!*

Po wymianie zdań ojciec zdecydował:

— *Proszę ojca (słowa do dziadka) ustalamy, że jak Marcin przejdzie do klasy trzeciej, to dostanie od ojca wędkę za 30,- złotych. A jeśli zostanie na drugi rok, za każdą złotówkę dostanie po jednym bacie (ojciec nigdy nas nie bił)!*

Z markotną miną przystałem na ryzykowny dla mnie układ.

Krytycznego dnia ojciec pojechał do szkół po świadectwa. W owym czasie już były w mieście tramwaje.

Cały czas z niecierpliwością wyglądałem przez balkon na powrót zacnego ojca. Wreszcie wysiadł z tramwaju. Idzie. Zauważyłem chmurną minę. Pomyślałem sobie:

— *Tadek przeszedł na pewno (był drugi rok w klasie drugiej), Jadzia uczy się dobrze (była już w pierwszej klasie Gimnazjum Żeńskiego). No, przyczyną zmartwienia jestem ja!*

Pobiegłem do salonu i do portek włożyłem wyhaftowaną przez mamę poduszeczkę. Gdy usłyszałem, że ojciec otwiera kluczem drzwi wejściowej, z dobrą miną do złej gry wpadłem do przedpokoju i spytałem:

— *Przyszedłeś?*

Na to ojciec z flegmą:

— *Kładź się!*

Posłusznie położyłem się na dywanie w salonie. Ojciec za chwilę wszedł z pasem i zaczął odliczać obiecane mi baty. Od moich spodni wzmocnionych poduszczką szło echo na całe mieszkanie. Kochany ojciec zaraz zorientował się, że nie jest tak, jak być powinno. Przerwał bicie. I hamując śmiech powiedział:

— *No, dostałeś dwanaście batów, resztę rozkładam ci na raty!*

I wyszedł.

Mimo wszystko dziadek podarował mi na otarcie łez wędkę bambusową i komplet przyborów wędkarskich. Pod jego opieką łapałem ryby w Żabnicy i Sole. Pstrągów i kleni było moc (dziś tam podobno pustynia).

Po powrocie z Węgierskiej Górki dziadek Czesław pojechał do syna Mieczysława, do Bogusz skąd przyszły po kilku dniach telegramy do mamy: *Przyjeżdżaj, ojciec chory na zapalenie płuc*. I drugi: *Ojciec zmarł. Pogrzeb w Grajewie pojutrze*.

Tak oto odszedł z naszego życia najzaciejszy z zacnych członków o gołębim sercu, dziadek Czesław Szujecki.

Okazało się, że podczas kiepskiej pogody wybrał się na polowanie na dzikie kaczki i skąpał się wśród rozlewisk bagiennych rzeki. Zanim wrócił do domu dostał dreszczy, wysokiej gorączki. Pomoc lekarska z Grajewa nie dała żadnych rezultatów. Na pogrzeb pojechała mama, a rodzinę – wnuczków – reprezentował Tazio.

Rok szkolny 1926/27 rozpoczął się w moim życiu niespodziewanym, a decydującym o wszystkim wydarzeniu. Moje rodzeństwo zbuntowało się co do konieczności dalszego uczenia się muzyki. Tadeusz przestał odrabiać lekcje gry na skrzypcach. Jadzia zaś gry na pianinie. Lekcji fortepianu udzielała, przychodząc do nas, zubożała arystokratka rosyjska, którą losy po Rewolucji Październikowej rzuciły na teren Sosnowca. Utrzymywała się z udzielania prywatnych lekcji gry

na fortepianie. Ową sympatyczną starszą panią nazywającą się jak my – Kamińska, podpierali finansowo, płacąc za lekcje, moi rodzice.

Wobec tego postanowiono:

— *Marcinek będzie miał w szkole łatwiej, bo drugi rok w tej samej klasie. Niech trochę nauczy się grać na pianinie, to zaraz w gimnazjum łatwiej mu pójdą lekcje śpiewu i muzyki u profesora Powiadowskiego*⁸.

Już po kilku miesiącach nauki stwierdzono, że gram dużo, z zapałem, że robię szybkie postępy. Ponieważ nauczycielka wyjechała gdzieś do dalszej rodziny w Polskę, udzielać zaczęła mi lekcji zaprzyjaźniona z rodzicami sąsiadka, pani Ludwigowa, która grała na fortepianie w kinie *Zagłoba*. Gdy pani Ludwigowa zauważyła, że potrafię improwizować na fortepianie przystosowując się do scen rozgrywanych na niemym ekranie, zaczęła zabierać mnie do swojego miejsca pracy. Zacząłem ją zastępować. Potrafiłem naśladować bieg koni, gonitwy, a przy scenach sentymentalnych grałem rzewne i uczuciowe melodie. Po dwóch latach grałem już dość biegle i miałem w swoim repertuarze sporo utworów. Powoli stawałem się atrakcją spotkań towarzyskich. W owym to czasie radio poczęło stawić dopiero pierwsze kroki (aparaciki detektorowe ze słuchawkami na uszach), gramofony i płyty należały do rzadkości. Mama odzwyczała się od grania. Gdy schodzili się goście mawiano:

— *Marcinku! Zagraj nam coś!*

Siadałem więc do pianina i grałem różne utwory, oczywiście na miarę ówczesnych moich możliwości technicznych i interpretacyjnych. Gwoździem repertuaru była *Burza* Webera (ale nie tego Karola Marii!), *Modlitwa Dziewicy Bądarzewskiej* no i oczywiście ułatwione

⁸ **Władysław Powiadowski** (1865-1947) – dyrygent i kompozytor; autor wedywilo *Królowa przedmieścia*, pieśni chóralnych, uwertur, marszów. Nauczyciel w Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Sosnowcu.

utwory Fryderyka Chopina (ze *Skarbczyka*) czy polonez *Pożegnanie Ojczyzny* Ogińskiego.

Przy granie nie przeszkadzała mi krzywa ręka, uszkodzony palec, czy *nieczynne* lewe ucho. Gra na pianinie stała się pasją mojego życia i... przyczyną pozostania w klasie trzeciej na drugi rok. Nie mogłem jakoś skoordynować swoich zajęć. Miałem liczne grono kolegów zawsze skorych do zabaw różnych, bisurmańskich wyczynów. Bardzo dużo obok tego czytałem.

W roku szkolnym 1928/29, może pod wpływem muzyki, a może w związku z okresem... dojrzewania, zakochałem się. Sympatią moją została koleżanka siostry, drobniutka, ale pełna wdzięku Tysia. Często przychodziła do nas i kiedy ja wygrywałem różne *kawałki* na pianinie, ona wpatrywała się w... Jasia Giercuskiewicza (jego brat Karol był budowniczym zapór i elektrowni wodnych w Porąbce i Czchowie) mojego kolegę. Jasio by miłym i ładnym chłopcem z blond fryzurką. Moje *tarapaty* miłosne prędko dostrzegli kumple i brat Tadeusz. Zwołali *naradę wojenną*, podczas której pouczyli mnie, że z *kobietami* postępuje się inaczej, że należy brać się do nich ostro i zdecydowanie. Po wyznaniu należy porywać w objęcia i... całować.

— *Tej metodzie żadna się nie oprze* – oświadczyli.

Narada zakończyła się ustaleniami:

— *Jak Tysia przyjdzie zamkniemy was samych w salonie. A ty musisz działać. Jeśli tego nie zrobisz... skujemy ci mordę* – zakończyli swoje wywody.

Tak doszło do 19 marca 1929 roku, uroczystego dnia imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego. Po akademiach, cała gromada młodzieży znalazła się w naszym mieszkaniu (spławiony został tylko rywal – Jasio Giercuskiewicz). W pewnym momencie cała ferajna przeszła do innych pokoi, a ja z Tysią zostałem sam. Byłem mocno zmieszany, a ona – wiadomo kobieta – wyczuła, że coś nie jest tak,

jak być powinno. W pewnym momencie dotarł do mnie skrzyp dosuwanego stołu do drzwi wiodących z przedpokoju do salonu.

W drzwiach u góry znajdował się świetlik. W szybie pojawiły się twarze *instruktorów miłości*. Na migi pokazywali, co mam czynić, a gdy zobaczyli, że stoję jak słup, zaczęli pokazywać, jak to będą mnie bić pięścią po mordzie. Całe szczęście Tysia siedząca tyłem, nie widziała tych upiornych i groźnych wygibasów. Cały czas targała w zdenerwowaniu mereżkę chusteczki do noska. I wreszcie schyliłem się by ją pocałować. Przerazona Tysia umknęła i dotknąłem tylko jej ucha. Ona zrobiła się czerwona jak przysłowiowy burak, a zdrajcy z przedpokoju zeskoczyli ze stołu i zaczęli głośno mówić:

— *Zuch Marcin! Brawo! Zrobił swoje!*

Metoda nie dała jednak spodziewanych rezultatów. Tysia bardzo przeżyła moje *oświadczenia*, dostała wysoką gorączkę i przez kilka dni nie była w szkole. Później znów nas odwiedziła wpatrując się w... Jasia Giercuszkiewicz! A ja grałem im *Preludium deszczowe* Fryderyka Chopina.

W tym to czasie zmarł dyrektor Tadeusz Nowakowski. Cała szkoła żegnała go z ogromnym żalem. Brat Tadeusz, jako wyrosnięty, silny młodzian (miał już 17 lat) miał zaszczyt nieść trumnę dyrektora wraz z całą delegacją uczniów Gimnazjum im. Staszica.

Wówczas to począł uczyć nas matematyki profesor Pawłowicz, matematyk świetny, choć, na nasze szczęście, zrutyinizowany. Na lekcjach *twierdzonka* płynęły od lat ustalonym schematem, jak i zadania klasowe, powtórki materiału. Ja byłem już w klasie czwartej, a Tadeusz – zgodnie z koleją losu – przegonił mnie i był w piątej. Otóż Pawłowicz – w dosłownym znaczeniu tego słowa – zawziął się na niego, mnie zaś zaczął faworyzować. Przyczyna tego stanu rzeczy była dość błaha. Pawłowicz, samotny, stary kawaler opiekował się bratanicą, brzydką, nie dbającą w dodatku o swój wygląd. Była ona jedną z koleżanek siostry i dość często nas odwiedzała czując jakąś

wyższego kalibru sympatię do brata Tadeusza, który ją całkowicie lekceważył. Ja zaś byłem dla owej kuzyneczki groźnego matematyka takim, jakim powinienem być: gdy wchodziła, grzecznie podawałem płaszczyk. Oczywiście wygrywałem jej na pianinie różne *kawałki* itd. Dziewczynka wynosiła mnie pod niebiosa (taki grzeczny i układny) a na Tadeusza ciskała – chyba w nieświadomości – gromy. Tak więc Pawłowicz mawiał do mnie w klasie:

— *Muzycy i matematycy to wielcy ludzie. Już w Starożytnej Grecji zawody te chodziły w parze. No i ty jesteś... carska główka.*

To było jego stare powiedzenie jeszcze z czasów, gdy uczył w latach niewoli. W ogóle miał coś w sobie z carskiego urzędnika – nauczyciela – *stupajki*.

Może nie wadziłem mu też swoim wyglądem. Podobnie jak on, byłem raczej wątłej budowy. Dodam, że Pawłowicz w owym czasie poddał się końskiej kuracji (chyba według znachorskiej porady) leczenia gruźlicy, na która ciężko chorował, kąpaniem się cały rok w rzecznej wodzie, bez względu na porę roku. Sosnowiec wiedział, że prof. Pawłowicz na rowerze zaraz o szóstej rano jeździ nad Brynicę (rzeczka – dziś brudny ściek, w owym czasie miała czystą wodę, a w niej dużo ryb i raków). Tam kąpał się przez 15-20 minut. Zimą toporkiem wyrąbywał przerębel i zanurzał się w wodzie ku podziwowi wszystkich. Kuracja udała się i kawerny w płucach prof. Pawłowicza zablizniły się. Wrócił do zdrowia.

Wracam jednak do lekcji matematyki. Pawłowicz nie lubił Tadeusza, który był chłopcem wyrosniętym nad podziw, zawsze dobrze ubranym. No i Pawłowicz *zaginał* Tadeusza, a ten wkuwał matematykę z ogromną wytrwałością (po maturze Tadeusz zapisał się na Politechnikę we Lwowie, na wydział architektury, gdzie

matematykę wykreślną wykładał sam profesor Kazimierz Bartel⁹ – wybitny uczyony, były premier Polski). Pawłowicz przez kilka lat nękał Tadeusza, aż wreszcie *usadził* go w klasie siódmej, w której go dogoniłem, po kilku latach ścigania brata.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w owym czasie ćwiczyłem na pianinie 4-5 godzin dziennie, grając przy tym w coraz modniejszą w gimnazjum piłkę nożną (grałem na obronie, czyli na „beku”), niewiele czasu i chęci pozostawało na odrabianie lekcji. Do przedmiotów tzw. humanistycznych miałem duże predylekcje. Przychodziły mi one łatwo dzięki znakomitej pamięci, którą w owych latach dysponowałem. Gorzej było z przedmiotami ścisłymi, w tym z matematyką.

Szczęście mi jednak sprzyjało. W klasie były trzy rzędy ławek, a w każdej ławce siedziało dwóch uczniów. Był więc rząd, od okien, od ściany (drzwi wejściowych) i środkowy. Ja siedziałem w rzędzie od ściany mając miejsce z lewej strony. Za plecami siedział geniusz matematyczny, dobry i serdeczny kolega Tadzio Ruzikowski, który lotnością swojego umysłu w rozwiązywaniu zadań przerastał samego profesora Pawłowicza. W środkowym rzędzie siedział drugi geniusz, oczywiście z prawej strony ławki, Stasio Bomba. Ten – dla własnej przyjemności – zajmował się matematyką wyższą: całkami i różniczkami. Zrutynizowany profesor Pawłowicz główny nacisk kładł na ocenę uczniów na podstawie klasówek. Dobre ich rozwiązywanie zwalniało niemal w stu procentach od wywoływania do tablicy.

Gdy więc przychodziła klasówka, profesor Pawłowicz *chytrze* dawał różne w treści zadania do rozwiązywania rzędom w ławkach – najpierw lewym, a później prawym. To był mój ratunek! Gdy Pawłowicz „lewicowcom” skończył dyktowanie klasówki zabierając się do prawicowców, Tadzio Ruzikowski już miał zadanie rozwią-

⁹ **Kazimierz Bartel** (1882-1941) – polski polityk, matematyk. Rektor Politechniki Lwowskiej. W latach 1922-1929 poseł na Sejm, pierwszy premier Polski po przewrocie majowym. W latach 1937-1939 Senator Rzeczypospolitej. Zamordowany przez hitlerowców.

zane i dyskretnie podawał mi ściągę, którą zaraz wpisywałem do zeszytu klasówkowego. Ściągą wędrowała dalej, a ja – trąc dyplomatycznie czoło – czekałem na chwilę podejścia prof. Pawłowicza, który po podyktowaniu klasówek wędrował po klasie sprawdzając, jak idzie praca uczniom.

Podchodził do mnie, a zobaczywszy, że cała koncepcja rozwiązania jest gotowa i tylko trzeba dokonać podstawowych wyliczeń przy użyciu tablic logarytmicznych, klepał mnie po ramieniu i mruczał:

— *Tak, tak carska główka.*

Aż pewnego razu przyszedł Pawłowicz jakiś zmartwiony do klasy (okazało się, że zarządzeniem kuratorium w Krakowie ma przejść do jakiejś innej szkoły, bodaj na Podkarpaciu) i spacerując powiedział:

— *Dziś powtórzymy poprzednią lekcję.*

I ku mojemu przerażeniu położył rękę na moim ramieniu. Gdy podniosłem się, on sam zdumiał się i swoim zwyczajem rzekł:

— *Ach to ty, carska główka! No, ale już stało się, idź do tablicy. To dla ciebie pesteczka!*

Klasa zamarła, ja zaś przy tablicy zacząłem udawać chorego i wreszcie powiedziałem:

— *Panie profesorze, ja dziś jestem chory i nie mogę skupić się.*

To był koniec. Profesor Pawłowicz, wykańczający brata w starszej klasie, domyślił się, że jakimś cudem nabierałem go. Ponieważ był zrutynizowanym nauczycielem, w tym szukałem ratunku dla siebie. Cały materiał bieżącej jak i następnej lekcji, dzięki pomocy Stasia Bomby i Tadzia Ruzikowskiego nauczyłem się na pamięć. Następnego dnia Pawłowicz wszedłszy do klasy, spojrzał na mnie bystro:

— *No dzisiaj asy powtórzą poprzednią lekcję! Nasz muzyk do tablicy!*

Ja zaś – przy jego kompletnym zaskoczeniu – złapałem kredę, kątomierz, ekerkę i liniał, i w błyskawicznym tempie nic nie rozumiejąc, całą lekcję wykonałem z pamięci bez zajknięcia. Poszło to tak szybko i pewnie, że cała klasa nie mogła ochłonąć ze zdumienia. Pawłowicz w tej sytuacji przystąpił do przerabiania dalszego materiału. A ja bezczelny:

— *Panie profesorze, twierdzenie jest tak proste, że mogę je udowodnić. Dziś jestem zdrow, jak ryba!*

Całe szczęście, że nadchodził koniec roku szkolnego, bo inaczej musiałbym cały czas poświęcać na nieszczęsną matematykę. Pawłowicz nie dał się jednak nabrać. Po raz pierwszy od dwóch lat postawił mi na rocznym świadectwie trójkę, a nie czwórkę. Na piątkę matematykę umiał tylko Pan Bóg. Stasio Bomba i Tazio Ruzikowski – na czwórkę.

Stało się to znacznie później, bowiem opisując perypetie z profesorem Pawłowiczem doszedłem do klasy szóstej, gdy tymczasem zaszło w Gimnazjum i w moim życiu wiele ciekawych wydarzeń.

W gimnazjum szczególnie ważną pozycję w składzie kadry nauczycielskiej spełniali – przynajmniej z mojego punktu widzenia – prof. Władysław Powiadowski i prof. Witold Wyspiański¹⁰.

¹⁰ **Witold Wyspiański** (1886-1945) – polski geolog, nauczyciel i działacz społeczny, przewodniczący Klubu Demokratycznego w Sosnowcu (1938-1939), poseł do Krajowej Rady Narodowej. Po ukończeniu studiów z dziedziny biologii, geologii i mineralogii na Uniwersytecie Jagiellońskim pracował jako nauczyciel biologii w krakowskim gimnazjum.

W czasie I wojny światowej organizował Drużyny Bartoszone w Małopolsce. W 1919 przeniósł się do Sosnowca, gdzie nauczał w lokalnej szkole średniej im. Staszica. Działał w Towarzystwie Uniwersytetu Robotniczego w Zagłębiu Dąbrowskim (1923-1939) oraz Polskim Towarzystwie Przyrodników im. Kopernika (od 1926 członek ZG). W latach 1927-1930 przewodniczył okręgowemu Związkowi Nauczycielstwa Polskiego Szkół Średnich.

W latach trzydziestych zaangażowany w Ligę Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W 1936 został wiceprezesem Koła Polskiego Związku Myśli

Prof. Powiadowski, starszy, postawny pan był znanym kompozytorem, autorem wodewilu *Królowa Przedmieścia*, który święcił powszechne triumfy u progu XX wieku. Prowadził on w gimnazjum zajęcia śpiewu i muzyki będąc równocześnie kierownikiem i dyrygentem chóru, orkiestry symfonicznej (salonowej) i orkiestry dętej. Dzięki jego wszechstronnej działalności gimnazjum tętniło życiem muzycznym: organizowane były stałe koncerty, różne imprezy artystyczne, przedstawienia słowno-muzyczne, a także – znane w całym mieście z wysokiego poziomu – uroczystości narodowe i państwowe. Po przejściu prof. Powiadowskiego na emeryturę, w 1931 r., zajęcia muzyczne w gimnazjum prowadził prof. Henryk Obuchowicz pianista i kompozytor.

W tych pracach sekundował Powiadowskiemu prof. Wyspiański, w prostej linii kuzyn genialnego twórcy *Wesela*. Wyspiański prowadził jeden z najważniejszych przedmiotów – przyrodę, z wszystkimi jej działami od botaniki, zoologii, anatomii, krytalografii począwszy do mineralogii, kosmografii włącznie. W swych poglądach na prowadzone przez siebie przedmioty był niewątpliwie nowoczesnym nauczycielem. On to rozbudował pracownie naukowe pełne ekspozatów z zakresu flory i fauny. W dużej przyrodniczej sali znajdowały się akwaria i terraria. By zyskać dobrą opinię u prof. Wyspiańskiego, trzeba było stale przynosić do zbiorów różne ekspozaty, w tym rybki, trytony, żaby, padalce, zaskrońce, zielniki z wysuszonymi roślinami. Przez całe godziny lekcyjne badaliśmy elementy przyrodnicze przez mikroskopy podziwiając poruszające się w kropli wody bakterie.

Z wyglądu prof. Wyspiański, mężczyzna w średnim wieku, był dość korpulentnym i średniego wzrostu. Czoło jego przechodziło w wyrazistą łysinę. Był człowiekiem zacnym, jowialnym, mogę po

Wolnej. W roku 1924 był współzałożycielem loży *Staszic* w Sosnowcu (1935-1936 – dozorca, 1936-1937 – przewodniczący, 1937-1938 – mówca). W czasie II wojny światowej członek tajnej loży *Przesąd Zwyciężony* w Krakowie. Był synem Antoniego i bratankiem Stanisława Wyspiańskiego.

latach napisać, że dobrodusznym. Aby przybliżyć nas do ojczyznej przyrody organizował jednodniowe wycieczki, najczęściej do Ząbkowic Będzińskich, na Pustynię Błędowską, a nawet Ojcowa. W trakcie spacerów zawsze było wiele rzeczy do oglądania i podziwiania.

Wśród zajęć prof. Wypiański nie bawił się w przepytывanie uczniów z przerobionego materiału. Gdy nadchodził okres kwalifikacyjny wystawiał swoim podopiecznym noty na *wycucie psychologiczne i wygląd... anatomiczny* delikwenta biorąc także pod uwagę jakość i ilość dostarczonych do gabinetu przyrodniczego eksponatów. Zanim wstawił noty do dziennika lekcyjnego, całość obserwacji notował w swoim raptularzu. Noty szeregował systematycznie, według alfabetu. A więc najpierw szedł kolega Adamek. Wypiański oglądał zatroskanego bystrym wzrokiem i mówił:

— *O, o tak! Ty chłopcze dwa razy przyniósłeś pokarm dla rybek, przyniósłeś kilka minerałów. Ale raz uciekłeś z lekcji. Co, nie! Myślisz, że nie zauważyłem tego? Do przedmiotu trzeba się przykładać. Na zachętę stawiam ci tróję!*

Drugi na liście był kolega Cot, wysoki, dobrze zbudowany. Wypiański, wyduwając z zadowolenia wargę mówił:

— *No tak! Ty jesteś anatomicznym okazem dobrze zbudowanego człowieka. Ciebie nie potrzebujemy się wstydzić. Masz czwórkę!*

I tak dochodziło (w młodszych klasach) do mnie. Byłem wątły, szczupły, w okularach, ze złamaną ręką. Wypiański życzliwie uśmiechnąwszy się do mnie, z troską w oczach, zagajał:

— *No tak, ty synku jeszcze będziesz musiał dużo popracować. Ale dla zachęty dam ci dwójkę z plusikiem.*

Zaraz po mnie wstawał brat Tadzio, chłopiec na schwał, przystojny, wyrosnięty, no i zawsze dobrze ubrany. Wypiański patrząc na Tadeusza, promieniał z zadowoleniem i mówił:

— *Z ciebie możemy być dumni, ty dobrze reprezentujesz rodzaj ludzki. No i ostatnio przyniosłeś do zbiorów dwie świnki morskie. Masz piątkę!*

Po zakończeniu klasyfikacji takich nieszczęśników, jak ja było kilku w klasie. Koledzy – piątkarze – podchodzili gromadą do katedry prof. Wyspiańskiego i chórem go błagano o przepytanie dwójarzy, którzy tak kochają przedmiot, umieją go *na blachę* itp.

Kochany i zacny prof. Wyspiański namyślał się, namyślał, by wreszcie powiedzieć:

— *No tak! Dwójarze przyjdą jutro do gabinetu przyrodniczego o godzinie siedemnastej i tam ich przepytam, oczywiście bez taryfy ulgowej, z całego materiału okresu.*

Poprawki wypadają pozytywnie i z przyrody dwój nie było! Ale obok znajomości swego przedmiotu prof. Wyspiański brylował w działalności artystycznej. Był świetnym reżyserem i scenografem. On to prowadził w szkole na wysokim poziomie zespół teatralny. Pod jego kierownictwem wystawiało się w gimnazjum sztuki Fredry (*Pan Geldhab*), Wyspiańskiego (*Noc listopadowa*), a także wodewile z muzyką prof. Powiadowskiego. Ponieważ byliśmy w gimnazjum męskim, należenie do zespołu dramatycznego było wielką atrakcją, bowiem do współudziału w spektaklu zapraszane były koleżanki, najczęściej z Gimnazjum im. E. Plater¹¹.

Dzięki działalności muzycznej pozycja moja znacznie rosła w gimnazjum. W orkiestrze salonowej potrzebny był pianista. Stanowisko to obsadziłem z dodatnim skutkiem, choć miałem

¹¹ **Gimnazjum im. E. Plater** (obecnie II Liceum Ogólnokształcące) w Sosnowcu – szkoła założona w 1906 r. najpierw jako siedmioklasowa pensja żeńska O. Radliczowej (zlikwidowana przez władze rosyjskie w 1908 r.), dalej jako siedmioklasowa szkoła żeńska W. Mojkwskiej. W 1917 r. uspołeczniona jako Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej, a od 1921 r. nosząca nazwę **Gimnazjum Państwowe im. Emilii Plater w Sosnowcu**. Od 1908 do 1934 r. kierowała szkołą Józefa Siwikowa.

w szkole kilku rywali także dość biegle grających na tym instrumencie, jak Mirka Czarnowskiego czy Jurka Dębskiego.

W starszych klasach byłem jednak nie do zastąpienia, także jako solista i akompaniator. Akompaniowałem koledze skrzypkowi Mieczysławowi Blocherowi (uczył się równocześnie w Konserwatorium w klasie prof. Józefa Centera), który święcił triumfy wykonaniem takich utworów, jak *Koncert a-moll* nr 9 Charlesa Bériota, czy *Legenda g-moll* Henryka Wieniawskiego. Mój brat zaczął także odnosić sukcesy jako śpiewak, tenor bohaterski nawiązując jak gdyby do gimnazjalnej tradycji wynikającej z faktu, że kiedy myśmy wstępowali do Gimnazjum im. Stanisława Staszica, mury szkoły opuszczał właśnie Jan Kiepura, w późniejszych latach zdobywca światowej kariery, sławny *chłopiec z Sosnowca*.

Myśmy to stanowili trzon – obok oczywiście innych wykonawców różnych imprez artystyczno – muzycznych, które organizowano dla szkół w pięknej sali naszego gimnazjum! Akcje moje podniosły się, gdy okazało się, że potrafię nie tylko grać, ale również przemawiać. Oratorską specjalność odziedziczyłem zapewne po swoim ojcu. Zawsze przemawiałem bez kartki głosem tenorowym i z bardzo dobrą dykcją.

Gdy nauczyciele stwierdzili taki szeroki zakres moich ubocznych umiejętności, niejednokrotnie przymykali oczy na moje niedostatki wynikające z nieopanowania nauki. Bardzo sympatyczny fizyk, dr Adolf Fink pochodzenia żydowskiego (zamordowali go Niemcy w latach okupacji bodaj we Lwowie), zawsze mawiał:

— *Jak ja Marcinkowi mogę postawić dwóję, kiedy on tak pięknie gra na fortepianie?!*

W starszych klasach moja wiedza pianistyczna skoczyła znacznie w górę.

Nie wspominałem jeszcze o tym, że już w 1928 roku władze PKP awansowały ojca, który przeszedł do dyrekcji PKP w Katowicach na

zastępcę naczelnika wydziału ruchowo-handlowego (później awansowano go wyżej). Stała się więc aktualną sprawą naszej przeprowadzki do Katowic. By to jednak nastąpiło kolejnictwo musiało pobudować dla swojej kadry duży gmach przy ulicy Gliwickiej, zaraz za Placem Wolności. Jeśli chodzi o gimnazjum zapadła decyzja rodziców: *dzieci będą kontynuować naukę w sosnowieckich gimnazjach. Znają środowisko, nauczycieli. Z dojazdami sobie poradzą, to mała odległość*. Zdecydowano jednak, że dalsze uczenie się gry na fortepianie Marcina musi być kontynuowane już w Katowicach, i to w Instytucie Muzycznym dyrektora Mariana Stoińskiego¹², na co oczywiście przystałem z radością.

Tak to od 1 września 1930 roku poczęłem dojeżdżać do Katowic, bowiem przeprowadzka nastąpiła dopiero w grudniu tegoż roku.

Przejście moje z lekcji prywatnych fortepianu na lekcje w Instytucie Muzycznym było dla mnie poważnym wstrząsem, podobnym w efektach, jak kiedyś przejście ze szkoły powszechnej do gimnazjum.

W Instytucie Muzycznym, gdzie za naukę płacono sumę czterdziestu dwóch złotych miesięcznie zaraz obłany zostałem kubłem zimnej wody. Zostałem przydzielony do klasy pani Pauliny Pallulon, niewiasty wysokiej, szczupłej, delikatnej w postępowaniu, ale skrupulatnej w metodzie nauczania. Na samym wstępie poddała mnie *kuracji* w zakresie układania ręki. Okazało się, że w poprzednich latach uczyłem się grać pod każdym względem źle: ręce były sztywne, artykulacja i dynamika wadliwe itd... itp. Zadufany w swych możliwościach, musiałem zabrać się do systematycznego ćwiczenia

¹² **Stefan Marian Stoiński** (1891-1945) – polski etnograf, publicysta, dyrygent, kompozytor i pedagog. Studia ukończył w Berlinie. Założyciel i dyrektor **Instytutu Muzycznego w Katowicach** (1925), którego ukończenie było w latach międzywojennych i powojennych równorzędne z ukończeniem średniej szkoły pedagogicznej. Prezes Związku Śląskich Kół Śpiewaczych. Pierwszy dyrektor Teatru Operowego w Katowicach. Badacz folkloru Śląska.

gam, pasaży, pięciopalcówek, etiud (i to tych łatwiejszych!), preludów (małych) J. S. Bacha i oczywiście *Sonatin* M. Clementiego. Pani Pallulon ze spokojem obejrzała moje dolegliwości fizyczne (ręka i palec) i stwierdziła, ku mojemu zadowoleniu, że nie będą one stanowiły trudności w porządnym opracowywaniu materiału. Zaczyna, zasługująca na szacunek kobieta!

Chodziłem oczywiście na przedmioty teoretyczne, które wykładał dojeżdżający z Krakowa młody muzyk prof. Franciszek Skołyszewski¹³ (po wojnie zyskał wielką sławę, jako nauczyciel... Krzysztofa Pendereckiego). I temu zacnemu panu pragnę w tym miejscu poświęcić kilka słów. Skołyszewski marzył o zrobieniu kariery pianistycznej. Woził więc ze sobą na trasie Kraków – Katowice głuchą klawiaturę fortepianu, na której cały czas ćwiczył. Mając na utrzymaniu rodzinę, żył bardzo oszczędnie. W klasie miał grzałkę do gotowania wody i blaszane jajeczko do zaparzania herbaty. W wolnych chwilach, a lekcje u niego płynęły jedna po drugiej, spożywał skromne posiłki, by nie tracić czasu na pójście do pobliskiej restauracji (Instytut Muzyczny mieścił się przy ulicy Teatralnej, na zapleczu Teatru im. St. Wyspiańskiego), w której dobry obiad z dwóch dań kosztował około 50 groszy.

Lekcje u pani Pallulon i prof. Skołyszewskiego otwarły mi oczy na muzykę w ogóle, a na pianistykę w szczególności. Otoczenie zaraz zauważyło, że Instytut Muzyczny zaczyna stawać się coraz bardziej największą pasją mojego życia. *Kuracja* pianistyczna dała dobre rezultaty. Rozluźniłem aparat gry, nabrałem pewności uderzenia ze zróżnicowaniem barwy dźwięku. Po kilku miesiącach pobytu w Instytucie Muzycznym zagrałem na popisie *Preludium* J. F. Haendla i *Walca fis-moll* P. Czajkowskiego.

¹³ Franciszek Skołyszewski – teoretyk muzyki, pianista, matematyk, fizyk zainteresowany postępowaniem elektroniki i teorii informacji, wykładowca harmonii i kontrapunktu, ale także akustyki i form muzycznych. Autor znanej wśród uczniów szkół muzycznych książki *Formy Muzyczne* cz I i II.

Postępy moje były tak znaczne, że od września 1932 roku począłem chodzić na lekcje fortepianu do prof. Juliana Lewingera (Lewińskiego) wychowanka sławnego wirtuoza prof. Józefa Turczyńskiego, a na lekcje przedmiotów teoretycznych do samego dyrektora Stoińskiego.

Z łałem rozstawałem się z zacną, miłą panią Pallulon, która powiedziała:

— *Panie Marcinku!* (nigdy nie mówiła do mnie po imieniu, miałem wówczas 18-19 lat) *Proszę przejść do Pana Lewingera. Robi pan szybkie postępy, które rokują dobre nadzieje na przyszłość. Pan Lewinger ma dobrą szkołę, jest wirtuozem i wiele pan może od niego skorzystać!*

Prof. Lewinger nie musiał już ze mną walczyć z ułożeniem ręki i wieloma problemami. Robiłem u niego szybkie postępy, wysuwając się po pewnym czasie na czoło wychowanków – pianistów Instytutu Muzycznego. Lekcje teoretyczne u dyr. Stoińskiego wiodące w arkana przede wszystkim harmonii ogólnej, dały mi bardzo wiele. Stosunki panujące między nami układały się jak najlepiej. On to zaproponował mi wstąpienie do prowadzonego przez siebie znakomitego chóru mieszanego *Ogniwu*, w którym dużo się nauczyłem zaznajając również wielu nigdy nie zapomnianych wzruszeń. W chórze śpiewałem w pierwszych basach. Znając solfeż i dobrze czytając nuty, prędko opanowałem ćwiczony repertuar, w którym znajdowały się takie dzieła, jak: oratorium *Juda Machabeusz* J. Haendla, *Requiem* Berlioza, *Wielka modlitwa* Stoińskiego i wreszcie *Stabat Mater* Karola Szymanowskiego, w którego to dzieła pierwszym wykonaniu na Śląsku uczestniczyłem. Wielki koncert odbył się w sali Teatru Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Na generalną próbę i koncert przybył sam kompozytor. Szymanowski, na którego patrzyliśmy z nabożeństwem, siedział na parterze sali, w trzecim czy czwartym rzędzie. Zdumiał nas, gdy podczas próby podniesieniem ręki prze-

rwał grę orkiestry. Stoiński odwrócił się do Mistrza, a ten cichym głosem powiedział:

— *Panie dyrektorze! Tam w pierwszym klawnie jest fałszywa nuta. Trzeba grać cis a nie c!*

Byliśmy pełni podziwu i uznania dla Szymanowskiego. Po koncercie, który wypadł wspaniale, zadowolony Szymanowski podchodził, trochę utykając, do nas i podawał swą delikatną rękę z podziękowaniem. Tej chwili, tego doznanego wzruszenia, nie zapomnę nigdy do końca życia. Było to moje jedyne spotkanie z żywym Karolem Szymanowskim, genialnym twórcą polskiej muzyki narodowej XX wieku.

Gdy z perspektywy lat cofnę się w owe ciekawe w moim życiu wspomnienia, nie mogę opanować zdumienia, że na tak wiele czynności miałem zawsze czas. Jeździłem przecież stale do Sosnowca, do gimnazjum, w którym byłem nie tylko uczniem, ale również czynnie działającym członkiem chóru, orkiestry, zespołów artystycznych, a także stałym wykonawcą wszystkich imprez szkolnych: akademii, koncertów, przedstawień teatralnych z muzyką. W Katowicach kilka razy biegałem do Instytutu Muzycznego oraz na próby chóru *Ogniwo*. Jeśli dodam, że w tych latach miałem kilka prywatnych lekcji gry na fortepianie (pierwszą moją uczennicą w życiu była koleżanka siostry Jadzi – Zosia Soborowska – by mieć do swojej dyspozycji kilkadziesiąt złotych miesięcznie) mogę śmiało napisać, że byłem pracowitym człowiekiem. Aby robić postępy w graniu, przeciętnie ćwiczyłem dziennie około pięciu godzin. Normę wyrównywałem graniem w niedziele od świtu do nocy. Były więc stałe kłopoty z odrabianiem lekcji do gimnazjum. Gdy ojciec wracał z pracy na obiad, który odbywał się około godziny 15-tej, po naszym powrocie z Sosnowca, zaraz się pytał:

— *Jak tam lekcje? Odrobione?* – Tadeusz z flegmą odpowiadał:
— *Marcin jeszcze trochę pogra na pianinie, a potem weźmiemy się do roboty, aż będzie furczało!*

Po kolacji znów grałem i rozmowa się powtarzała. Wreszcie o 22-giej godzinie nadchodziła cisza nocna w gmachu mieszkalnym.

Ojciec wchodził do naszego pokoju i z niepokojem pytał:

— *A lekcje odrobione?*

Na to Tadeusz:

— *Dobranoc kochany tato! Nastawiłem budzik na piątą. Jak się obudzimy, zaraz weźmiemy się do roboty, aż będzie furczało. Umysły wypoczęte lepiej będą chwycić materiał.*

Gdy budzik się odzywał o ustalonej porze, Tadeusz zaraz wyłączył brzęczek i spaliśmy dalej. Przed siódmą wpadał ojciec:

— *To wy jeszcze śpicie, a za pół godziny pociąg? Szybko!*

W pociągu odrabiałem pierwszą lekcję, w czym pomagał mi kolega Stasio Szczepański, miły, ładny, uczynny i dobry młodzieniaszek (lubił mnie za muzykę). Podczas pierwszej lekcji przygotowywałem się do drugiej i tak kolejno do piątej godziny lekcyjnej, na której – spracowany – odpoczywałem. W tym systemie ratowały mnie dwie rzeczy: świetna pamięć i miłość nauczycieli gimnazjum do muzyki.

Faktem jest, że gdy zająłem się graniem na pianinie oraz poważnymi studiami muzycznymi, przechodziłem z klasy do klasy bez większych kłopotów (w siódmej dogoniłem po kilku latach rozstania brata i już razem doszliśmy do matury).

Na początku roku szkolnego 1932/33 wygłupiłem się w sposób śmieszny i nieprzemyślany. Otóż po przejściu prof. Władysława Ankiewicza na emeryturę (zaczny był to człowiek), zajęcia historii przejął prof. Pierzchała (imienia nie pamiętam), który zaraz

na pierwszej lekcji chciał nas zdruzgotać swoją pewnością siebie. Powiedział:

— *Panowie! Ja niczego się nie boję, nie straszcie mnie! Musicie uczyć się, a będę dla was życzliwy!*

Pierzchała był średniego wzrostu. Włosy czarniawe cesał do góry. Jako mężczyzna mógł się podobać. Jedyłą jego wadą były oczy, oczy krótkowidza, które dyskretnie chowały się za duże i ciemne okulary.

Coś mi strzeliło do łba. Wyszedłem na środek klasy, stanąłem przed katedrą. Moje obcesowe zachowanie się zrobiło wrażenie na profesorze, który z pewnym lękiem i zmieszaniem zwrócił się do mnie:

— *A cóż chłopcze, czego chcesz?*

A ja palnąłem tenorowym głosem:

— *Chciałem powiedzieć panie profesorze, że jesteśmy do siebie bardzo podobni!*

— *Co... co, a dlaczego!* – wyjąknął prof. Pierzchała.

A ja:

— *Bo obaj nosimy okulary!*

Cała klasa ryknęła śmiechem. Pierzchała wściekł się, a ja dumny niczym przysłowiowy paw pomaszero wałam na miejsce.

Incydent był głupi i zachowanie się nie licowało z moją pozycją artysty w gimnazjum. Skutki tegoż incydentu były dla mnie fatalne. Pierzchała, który ładnie i ciekawie wykładał swój przedmiot, przy każdej okazji zaginał mnie i stawiał w związku z tym na kolejne okresy dwóje. W ogóle rok ten nie układał mi się dobrze. Miałem poważne kłopoty z matematyką. Po szczęśliwym odejściu prof. Pawłowicza przedmiot przejął młody pedagog Stanisław Małecki,

którego religijność przechodziła w bigoterię. Fizyka i chemia u dr Finka również szły kiepsko. Liczyłem więc na łut szczęścia, jak to liczył kiedyś w *Ogniem i Mieczem* Henryka Sienkiewicza – na krzyżyk u karabeli – zamknięty w chlewiku przez Bohuna Zagłoba.

Pod koniec roku szkolnego, gdy już zanosilo się, że w biegach do matury o wiele długości wyprzedzał mnie Tadeusz, ten zdecydował się na krok ryzykowny i chytry. Poszedł do prof. Pierzchały podczas wizytowania gimnazjum przez kuratora krakowskiego, wziął go na stronę i powiedział:

— Panie profesorze! W naszej klasie granda! Skandal! Chcą iść na pana profesora na skargę do kuratora. A pan profesor taki dobry, taki zacny. Powiedziałem im, że pójdą, jakem wójt klasowy, ale po moim trupie!

Pierzchała oniemiał, przeląkł się (w owym czasie nie było tak łatwo o posadę, jak w Polsce Ludowej) i ściskając rękę Tadeuszowi powiedział:

— Jesteś dobry chłopcze. Dziękuję ci. Dobrze, żeś mi o tym powiedział, bo w razie czego wiem, jak mówić z kuratorem.

Po krótkiej chwili powiedział:

— Ten twój brat ładnie gra na fortepianie. Ale czemu nie uczy się historii? To taki ciekawy przedmiot.

Tadeusz tylko na to czekał:

— Panie profesorze zacny i szlachetny. Marcin się wówczas wygłupił i tym zraził do siebie pana profesora. Ale on historię chyba zna najlepiej w całej klasie, to jego konik naukowy.

— A, jeśli tak – rzekł Pierzchała – to ja go przepytam, jeszcze mamy jedną lekcję. Ale czy on wie coś o dynastii piastowskiej, albo w ogóle orientuje się w bitwach napoleońskich? Pewne nic nie umie. No, ale zobaczymy!

Tadeusz przekazał mi efekty swojej chytrej strategii, a ja wzięłem się do nauki materiału odpowiadającego zasygnalizowanym pytaniom.

Po dwukrotnym czytaniu umiałem wszystko, co trzeba na pamięć.

Gdy prof. Pierzchała wszedł do klasy, przywitało go pełne powagi, nabożne wprost skupienie. Pierzchała sprawdził listę obecności, rozjeździł się po klasie i powiedział:

— *No moi kochani. Wizytacja się skończyła, mamy rok szkolny na ukończeniu, trzeba postawić noty, a tu kilku z was zasługuje na dwóję. Myślę, co robić, jak was ratować? O tacy... ot... Marcin Kamiński, Kalinowski, Zatoński – macie zadeklarowane dwóję!*

Reszta w klasie odetchnęła i poczęła delikatnie skandować:

— *Poprawić ich, poprawić ich! Byłoby smutno rozstać się z nimi!* (do ósmej klasy nie wolno było przejść z poprawką).

Pierzchała, zgodnie ze swoim zwyczajem, wydał bojowo dolną wargę i podjął decyzję:

— *No to chodźcie w czwórkę do katedry!*

Rozpoczęło się odpowiadanie na postawione pytania. Ja oczywiście na temat dynastii piastowskiej i wojen napoleońskich poczęłem tak śpiewać, że prof. Pierzchała i cała klasa zastygła w zdumieniu. Tadeusz tylko uśmiechał się zadowolony, że ma tak mądrego brata! Wreszcie prof. Pierzchała odprawił nas na miejsca. Rzekał:

— *No, Marcinie Kamiński, zdumiałeś mnie! Powinienem ci dać piątkę, ale ponieważ cały rok była dwója, więc suma sumarum, masz na świadectwie trójkę!*

Inni dwójarze też dostali pozytywne oceny na zakończenie roku szkolnego dzięki Tadeuszowi, który był wójtem klasowym.

Musiałem jednak ratować się z innych przedmiotów. Wróciwszy do Katowic przebrałem się w koncertowy smoking (już miałem takowy) i pojechałem do Sosnowca. Najpierw poszedłem do prof. Finka. Ten zdumiał się. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, a dowiedziawszy się, co mnie do niego sprowadza zakończył wywody:

— *Ja ciebie bardzo lubię. Ty tak ładnie grasz na fortepianie, umilasz nam życie. Ale fizyki nie umiesz. Wiem, że Einsteinem nie zostaniesz. Zostań sobie muzykiem. Jak dasz słowo, że nie będziesz fizyki zdawał na maturze – oj, to byłaby kompromitacja – to ci postawię trójkę. Nie będę ci przeszkadzał. Ale gdyby groziło ci kilka dwój, dołożę swoją. Zawsze lżej zimować w klasie, gdy zostaje się z pakietem!*

Poszedłem do prof. Małeckiego. Ten zobaczywszy mnie w smokingu, w białej koszuli i czarnej muszce (płaszcz miałem w rękę) równie przyjął mnie z zadowoleniem i atencją. W trakcie powitań i proszenia mnie do pokoju, odezwał się przy drzwiach wejściowych dzwonek. Profesor otworzył. Gdy zobaczył biednego, chciał iść po kilka groszy, ale ja szybko wyjąłem z kieszeni dwa złote. Biedak poszedł zadowolony. Dobre to zrobiło wrażenie na religijnym prof. Małeckim, który zawsze wspierał biednych i nieszczęśliwych, o czym wiedziała cała szkoła.

Małecki w wyluszczonej przeze mnie sprawie nie był jednak tak dobroduszny, jak dr Fink. Zaczął kręcić, zasłaniać się sumieniem pedagogicznym, ale wreszcie rzekł:

— *No dobrze! Jeśli ci ja tylko mam hamować drogę do kariery muzycznej, do czego przyczyniłoby się pozostanie w tej samej klasie, to gotów jestem postawić ci tróję, ale w trzech okolicznościach: po pierwsze – zobowiążesz się, że przez całe wakacje będziesz powtarzał materiał z matematyki wykresłej z klasy siódmej, po drugie – nie będziesz zdawał przy maturze matematyki i po trzecie – jeśli będzie groziła ci tylko jedna dwójka ode mnie.*

Na wszystkie uwagi i zastrzeżenia zgodziłem się z entuzjazmem i mając słowo prof. Małeckiego pobiegłem do prof. Wilhelma Wittenberga, wychowawcy klasowego, nauczyciela języka niemieckiego, naszego przyjaciela i opiekuna, przy tym zwariowanego wielbiciela muzyki.

Prof. Wittenbergowi wyłożyłem *kawę na ławę* opowiadając, jak to poprawiłem z historii i jakie obietnice otrzymałem od Finka i Małeckiego. Prof. Wittenberg cały czas poprawiał z wrażenia binokle spoczywające mu na nosie. Aż wreszcie rzekł:

— *No, no Marcin. Już nawet nie pytasz mnie, czy nie grozi ci dwójka z niemieckiego? No dobrze, masz u mnie trójkę. Z historią spokój, ale co z fizyką i matematyką? Muszę tak zrobić, żeby oni obaj nie mogli postawić tobie not w dzienniku przed konferencją. Jeden będzie czekał na drugiego, a słowa danego na pewno dotrzymają. Dopiero zaskoczy się ich na konferencji. Zobaczmy, co z tego wyniknie?*

W dniu Konferencji *warowaliśmy* pilnie przed szkołą. Był zagrożony Jasio Gadomski, Jerzy Got, no i oczywiście ja. Towarzyszył nam brat Tazio z kumplowskiego obowiązku – on musiał przejść był drugoroczny. Czekaliśmy długo, bardzo długo. Wreszcie około godziny pierwszej w nocy, jako pierwszy z rady pedagogicznej pokazał się ksiądz katecheta, doktor świętej teologii, Paweł Głowala¹⁴, dusza człowiek, przyjaciel młodzieży. Stał w rozkroku w sutannie i powiedział:

— *Wyciągnąłem was za uszy! O ciebie, Marcin, bałem się najwięcej. Była przy tobie tylko sprzeczka z dyrektorem Zillingerem, gdy ten zauważył, że brak not z fizyki i matematyki. Doktor Fink i Małecki zgodnie stwierdzili,*

¹⁴ **Ks. Paweł Głowala** (1892-1964) – kapłan diecezji częstochowskiej znany ze swej działalności duszpasterskiej wśród młodzieży. Przez wiele lat pracował w Sosnowcu, gdzie jest pochowany.

że widocznie przegapili wpisanie not i postawili ci tróje. Idę spać, bo mam mszę o szóstej, czasu mało.

I poszedł zacny ksiądz, a my na stu koniach wracaliśmy do Katowic, wioząc szczęśliwą wiadomość rodzicom i Jadzi (ta się uczyła zawsze solidnie i nie było z nią kłopotów).

W ósmej klasie, nie zmieniając trybu zajęć, wszystko szło mi jakoś łatwiej i sprawniej. Zdecydowałem się składać egzaminy pisemne z polskiego, matematyki (!) i języka niemieckiego, do tych przedmiotów dochodził ustny egzamin z przyrody, egzamin bardzo ważny, boć przecież cały program gimnazjum był matematyczno-przyrodniczy. Mój nietakt i nie dotrzymanie zobowiązania, zgodnie ze swoją chrześcijańską duszą, wybaczył mi prof. Małecki. Nie było innego wyjścia z sytuacji.

Przed samą maturą ćwiczyłem na pianinie, jak wściekły. Miałem kończyć średni kurs w Instytucie Muzycznym, z przejściem do Państwowego Śląskiego Konserwatorium Muzycznego w Katowicach. W roku maturalnym 1933/34 miałem bardzo poważną rozmowę z rodzicami odnośnie mojej przyszłości. Ojciec chciał bym został adwokatem. Mówił:

— Masz świetną wymowę, jako adwokat zrobisz karierę i pieniądze niczym Hofmokl-Ostrowski¹⁵! Jako muzyk będziesz klepał biedę, a czas będzie leciał.

¹⁵ **Zygmunt Hofmokl-Ostrowski** (1873-1963) – polski adwokat, absolwent prawa na Uniwersytecie Lwowskim. Pierwszą kancelarię otworzył w Wiedniu. W czasie I wojny światowej walczył w pierw w szeregach wojska austriackiego, a następnie w wojsku polskim. Po wojnie otworzył kancelarię w Krakowie. Niedługo potem przeniósł jej siedzibę do Warszawy, gdzie zyskał sławę jako obrońca karny. Obdarzony niezwykłym talentem oratorskim słynął z wybuchowego temperamentu m.in. w procesie przed Sądem Okręgowym w Warszawie sześciokrotnie wypalił z rewolweru po obrazie ze strony funkcjonariusza policji, będącego świadkiem w sprawie. Sąd uznając, że nastąpiło to pod wpływem silnych emocji, skazał mecenasa na tydzień aresztu. Za nadużycia słowa zaś w procesie redaktora Piaseckiego został skazany na miesiąc

Zdecydowanie odpowiedziałem:

— *Moją radością życia jest muzyka. Nie muszę być bogaty, ale szczęśliwy.*

Ojciec:

— *Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz* (bardzo lubił cytować przysłowia). *Każdy jest kowalem własnego losu!*

Mając jednak na uwadze moje niedomogi pianistyczno-fizyczne pojechał zacny ojciec do Krakowa, by porozmawiać ze sławnym profesorem muzykologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, dr Józefem Władysławem Reissem¹⁶. Ten doradził:

— *Studia muzykologiczne, wobec braku zaplecza naukowego i badawczego w kraju, dadzą pańskiemu synowi bardzo mało. Łatwiej mu będzie żyć z pianistyki, z jakichś występów, pracy pedagogicznej. Podjęte zostały starania by wprowadzić do średnich szkół ogólnokształcących stałe programy audycji muzycznych. Jeśli to się stanie, zapotrzebowanie na muzyków – praktyków wzrośnie. Radzę zapisać syna do konserwatorium.*

Ojciec skapitulował. Poszliśmy w tej sytuacji do prof. Aleksandra Brachockiego, ucznia mistrza I. J. Paderewskiego, który od roku prowadził klasę fortepianu w Śląskim Konserwatorium. Brachocki¹⁷

aresztu i dwa lata zawieszenia w wykonywaniu zawodu. Autor popularnego przed wojną wydania Kodeksu Karnego z Orzecznictwem Sądu Najwyższego często stosowanego przez adwokatów.

¹⁶ **Józef Władysław Reiss**, pseudonim **Jan Dembina** (1879-1956) – polski muzykolog. Studiował historię na Uniwersytecie Jagiellońskim i muzykologię u G. Adlera w Wiedniu, gdzie uzyskał doktorat. Od 1901 wykładał historię muzyki, estetykę i formy muzyczne w Konserwatorium w Krakowie. Od 1922 wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskując w 1945 r. stopień profesora. Autor licznych publikacji z muzykologii i historii muzyki oraz podręczników szkolnych w tym: *Mała historia muzyki*, *Historia muzyki w zarysie*, *Mała encyklopedia muzyki* i wiele innych.

¹⁷ **Aleksander Brachocki** (1897-1948) – pianista i kompozytor, wykładowca w Śląskim Konserwatorium Muzycznym w Katowicach. Uczeń Zygmunta Stojowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego.

– obywatel USA polskiego pochodzenia – liczący w owym czasie około 35 lat życia, po wielu sukcesach artystycznych w świecie osiadł w Katowicach, by wychować swoje córki – bliźniaki, Tosię i Ludwikę. Żona pianisty i kompozytora była również polskiego pochodzenia córką emigranta (lekarza). Niewątpliwie to przekonanie narodowo – patriotyczne pobudziło w państwie Brachockich obcowanie z Wielkim Polakiem – Ignacym Janem Paderewskim.

Państwo Brachoccy mieszkali w Katowicach przy ulicy Jordana pod numerem 19 w nowoczesnej kamienicy stojącej do dzisiaj. W salonie były dwa fortepiany gabinetowe marki Knabego (USA). Brachocki z dużą życzliwością wysłuchał nas, by wreszcie powiedzieć:

— *Jeśli mowa o fortepianie, proszę niech pan siada do instrumentu tu i coś zagra. Posłucham pół godzinki i później powiem, co o tym myślę.*

Zagrałem kilka utworów właśnie szykowanych u prof. Lewingera: *Preludium i fugę c-moll* J. S. Bacha z I części *Das Wohltemperiertes Klavier*, *Nokturn b-moll op. 9* F. Chopina, *Impromptu As-dur op. 90 nr 4* F. Schuberta i na zakończenie *XI Rapsodię węgierską* F. Liszta. Prof. Brachocki zobaczywszy, że mam nuty *Koncertu A-dur* W. A. Mozarta zaraz mi zaakompaniował II i III część. Oczywiście grałem wszystko z pamięci.

Pani Brachocka przez cały czas przygotowywała herbatkę i ciasteczka. Wśród miłej rozmowy prof. Brachocki powiedział:

— *Dobrze! Przyjmę pana syna do swojej klasy. Ale przez wakacje niech pracuje nad sobą, bo egzaminy wstępne do konserwatorium będą dopiero na początku września.*

Rozstaliśmy się. Byłem szczęśliwy.

Pozostało mi jeszcze zdać maturę i odbyć egzaminy w Instytucie Muzycznym. Dzięki owemu łutowi szczęścia matura przeszła mi dość gładko.

Pracę z języka polskiego pisałem z tzw. tematu dowolnego, który brzmiał: *Wpływ sztuk pięknych na wychowanie człowieka*. Tu miałem pole do działania, bowiem po podaniu fragmentów odnoszących się do poezji, literatury, malarstwa, zająłem się przede wszystkim muzyką. Wypracowanie zostało ocenione bardzo wysoko, gdyby nie kilka błędów ortograficznych i interpunkcyjnych, byłaby piątka. No, ale w pośpiechu wszystko się może zdarzyć. Pisemny z matematyki poszedł mi dobrze dzięki niezawodnemu i nieocenionemu Tadziovi Ruzikowskiemu, o którego talentach matematycznych i przyjacielskich już pisałem. Już w pół godziny po podyktowaniu tematów miałem szkicową ściągę, którą – zgodnie ze starym zwyczajem – przepisałem i posłałem dalej. Gdy członkowie Komisji poczęli obchodzić ławki z abiturientami rozlokowanymi w auli, czyli sali koncertowej, ja już byłem daleko posunięty w swej pracy.

Jeśli chodzi o język niemiecki spodziewaliśmy się, że jakiś temat padnie z kilkunastu dobrze nam znanych. Takowe oczywiście nauczyłem się na pamięć i wygrałem. Dwa z przeze mnie opracowanych pasowało jak ulał do tematu maturalnego.

Bez kłopotów zostałem więc dopuszczony do egzaminów ustnych, które wypadły w drugi poniedziałek miesiąca czerwca 1934 roku.

Aby egzaminy przeszły jako tako musiałem zainteresować się przyrodą. Po zakończeniu egzaminów pisemnych na sali koncertowej prof. Witold Wyspiański kazał ustawić stoliki, gabloty, plansze, rozmieszczając około 300-500 najróżniejszych eksponatów.

Jeździliśmy więc z Katowic dla zapoznawania się z owymi eksponatami, które obejmowały wszystko. Na poczesnym miejscu królował szkielet człowieka, obok którego znajdował się cały jego korpus wykonany w glinie czy gipsie z wyjmowanymi organami jamy pierśiowej i brzusznej. Na półkach poumieszczane były minerały, kryształy, wypchane ssaki i gady itd., itp.

Po tym całym zbiorowisku oprowadzał nas Stasio Zatoński, dla którego przyroda, jako przedmiot, nie miała tajemnic. Eksponaty

były pasją jego życia. Chodziliśmy po całej sali, a on objaśniał, tłumaczył. Podziwiałem go. Tak doszliśmy na peryferie sali, gdzie w kąciку cichutko leżał kawałek gliny na żółto i zielono pomalowany. Machnąłem na ekspozat ręką, ale na wszelki wypadek spytałem:

— *Stasiu, a co to jest?*

— *To jest Marcinku przekrój przez liść. Spełnia on w przyrodzie wielką rolę...*

Ale ja mu przerwałem:

— *Kochany to dla mnie za skomplikowana sprawa. Chyba Wyspiański nie da mi do omówienia takiego dziwoląga?*

Przed samym egzaminem ustnym grałem na pianinie wiele godzin dziennie. Cekał mnie przecież egzamin roczny w Instytucie Muzycznym.

Wreszcie nadszedł poniedziałek. Znalazłem się w pierwszej grupie. O godzinie dziewiątej weszło nas czterech delikwentów, by losując pytania, po zastanowieniu się kolejno odpowiadać.

Poszedłem z języka polskiego na pierwszy ogień. Temat miałem łatwy, bowiem pani prof. Makowska¹⁸ (zginęła w czasie okupacji roz-

¹⁸ **Jadwiga Makowska** (1897-1945) – absolwentka gimnazjum w Myślenicach i polonistyki na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1922 r. uzyskała doktorat u prof. Ignacego Chrzanowskiego. Uczyła się także w krakowskim Konserwatorium w klasie fortepianu. Pracowała w szkołach w Opatowie i Sandomierzu. Od 1931 r. uczyła języka polskiego w Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Sosnowcu.

W latach 1936-1938 była kuratorem gazety młodzieży szkół średnich Zagłębia *Młodzi idą*. W latach 1933-1934 pracowała w Gimnazjum im. Bolesława Prusa w Sosnowcu. W czasie okupacji działała wraz z mężem (stracony w Oświęcimiu w 1941 r.) w Organizacji *Orla Białego*, uczestniczyła w tajnym nauczaniu (uczyła języka polskiego, łaciny i historii na poziomie gimnazjalnym), redagowała w podziemiu gazetkę *Nasze Sprawy*. Znała biegle język niemiecki – dzięki temu uniknęła dekonspiracji, gdy zaskoczona z uczniami przez nalot gestapo oświadczyła, że właśnie prowadzi lekcje tego języka. Później została jednak dwukrotnie aresztowana (1940, 1944 – za posiadanie

strzelana za przynależność do podziemnej organizacji *Orla Białego*) dała mi wiersz do odczytania. Miałem takowy odczytać, podać autora i omówić jego twórczość i znaczenie w literaturze polskiej. Wiersz był Marii Konopnickiej, który po jednorazowym przeczytaniu, z dużym napięciem nerwowym streszczałem mówiąc na pamięć całe zwrotki. Z ręką na sercu dodam, że nigdy owego wiersza nie czytałem. Komisja uśmiechała się jednak życzliwie, podejrzewając, że zacna Pani Makowska pomaga wyciągnąć Marcina za uszy. Z matematyki prof. Małecki dał mi proste zadania, które poprawnie rozwiązałem.

Z języka niemieckiego błysnąłem w sposób zaskakujący dla wszystkich. Prof. Wittenberg zadał mi pytanie (podaję po polsku):

- *Czy byłeś w teatrze?*
- *O, ja. Herr Professor!*
- *A na czym byłeś?*
- *Tannhäuser von Richard Wagner!*
- *No to opowiedz.*

Zacząłem recytować o Wagnerze, o jego twórczości, wpływie na rozwój muzyki. Prof. Wittenberg uśmiechał się z zadowolenia, a wszyscy podziwiali moją wiedzę i prawidłowe wysławianie się. Dodam, że do dziś władam językiem niemieckim w mowie i piśmie, choć przez całą okupację nie zdradzałem się z tą umiejętnością, co dwukrotnie uratowało mi życie. Ale o tym później....

I przyszło do fatalnego egzaminu z przyrody, bowiem prof. Wyspiański wyszukując dla mnie eksponatu do omówienia poszedł do kąta sali i podniósł owa grudę gliny, której omówienie wymagało znajomości wiedzy nie tylko przyrodniczej, ale i z zakresu chemii

zbioru wierszy W. Broniewskiego i J. Tuwima). Została rozstrzelana w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu w styczniu 1945 r.

organicznej. Byłem zdruzgotany. Nie tracąc jednak fantazji powiedziałem:

— *Panie profesorze! To przekrój przez liść. I zamilkłem.*

Wyspiański od razu zorientował się, że dokonał złego wyboru eksponatu. Nie mógł go jednak zmienić. Spiesząc mi z pomocą dodał:

— *No dobrze. Ale teraz abiturient niech opowie nam, jaka rolę spełnia liść w przyrodzie, co się z nim dzieje, jakie zachodzą procesy?*

— *Jaka szkoda – pomyślałem sobie – żem nie wysłuchał choć dziesięciu minut objaśnień Zatońskiego na temat tego cholernego kawalka gliny!*

Zdając sobie jednak sprawę, że milczenie moje może pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki, skoczyłem w odmęty tematu opowiadając o tym, jak to drzewo na wiosnę pokrywa się listowiem, jak liście drzewo traci na jesieni przed zimą, że drzewa i liście to płuca oczyszczające powietrze. Zacząłem także mówić o dwutlenku węgla, cukrach itp.

Zacny prof. Wyspiański słuchając mojego naukowego *głędzenia* wypowiedzanego ze swadą i pewnością siebie – oniemiał. Cała Komisja zatopiła wzrok w swoich papierach. Jedynie dr Fink znawca fizyki i chemii spoglądał na mnie ze zdumieniem. Mój referat trwał około dziesięciu minut, po których Przewodniczący Komisji, dyrektor Waldemar Zillinger¹⁹ (jego żona była śpiewaczką, często popisując się na akademiach) podniósł głowę i z flegmą powiedział:

¹⁹ **Waldemar Zillinger** (1888-1957) – polski fizyk, nauczyciel. Od 1933 r. przez długi czas dyrektor Gimnazjum im. S. Staszica w Sosnowcu, za którego to kadencji szkoła osiągnęła bardzo wysoki poziom nauczania. W czasie okupacji uważany za dyrektora i przełożonego sosnowieckiego tajnego nauczania. W 1945 wznowił działalność sosnowieckiej szkoły. Ostatecznie przeniesiony do Katowic. Autor, uważanego za najpełniejszy z istniejących, zestawu zadań dla szkół średnich, używanego przez całe pokolenia, po dziś dzień (24 wydań w tym ostatnie w 1998 r.).

— *No, panie profesorze abiturient dość dużo nam powiedział, może wystarczy?*

— *Przecież on mówił same głupstwa!* – wypowiedział słowa z rozpaczą Wyspiański.

— *No, no, nie było tak źle* – podsumował dyrektor, a do mnie:

— *Niech abiturient poczeka na korytarzu na ogłoszenie wyniku.*

Około godziny 13 moja czwórka zdających wezwana została na salę. Z radością i dumą usłyszeliśmy sakramentalne słowa:

— *Abiturient zdał i uznany został za dojrzałego do dalszych studiów wyższych. Gratulacje i życzenia na przyszłość.*

W sobotę nastąpiło rozdanie świadectw maturalnych. Spotkało mnie wielkie wyróżnienie, bowiem dyrektor Zillinger wygłosił pod moim adresem specjalne przemówienie. Podziękował mi za wielki wkład w działalność muzyczną na terenie gimnazjum, wręczył mi dwa pięknie oprawione tomy nut (Beethovena i Chopina) i na zakończenie powiedział:

— *Prosimy cię, byś dziś jeszcze na pożegnanie zagrał nam na fortepianie i byś zaakompaniował swemu bratu.*

Było pięknie i wzruszająco. Później zasiedliśmy za suto zastawionymi stołami wznosząc toasty (winem!) na cześć dyrekcji, rady pedagogicznej, szkoły, wszystkich pracowników.

Zagrałem *XI Rapsodię* Liszta, *Krakowiaka fantastycznego* Paderewskiego, a Tadeusz zaśpiewał *Arię z kurantem* ze *Strasznego Dworu* Moniuszki i *Arię* z opery *Tosca* Pucciniego.

Nastąpiły ostatnie pożegnania z kolegami. Umówiliśmy się, że w 1940 roku zorganizujemy swoje pierwsze pomaturalne spotkanie już jako absolwenci szkół wyższych.

Z owych uroczystych i wzruszających chwil zachowało się zdjęcie, które uratował nasz ojciec, gdy z chwilą wybuchu wojny trzeba było uciekać z Katowic. Ale o ty, później...

Zamykając ten bardzo ważny rozdział życia, zapomniałem napisać w choć kilku słowach o tych kolegach, którzy w ciągu długich lat pobytu w gimnazjum byli oddanymi nam przyjaciółmi.

Aleksander Dumas w swej powieści *Trzej muszkietierowie* opisuje perypetie czterech przyjaciół. A nas w Gimnazjum im. Stanisława Staszica było siedmiu muszkietarów, którzy przed nami, po nas lub razem z nami zdawali maturę. Do owej grupy przyjaciół, których dopiero na zawsze rozdzieliła wojna, należeli bracia Stanisław i Zdzisław Smogorzewscy (śląd po nich zaginął na dawnych wschodnich terenach Polski w czasie działań wojennych), Stefan Choiński²⁰ (zginął śmiercią bohatera ratując tonącego robotnika – Polaka podczas usuwania wraku wysadzonego mostu na Czarnej Przemszy, bodaj w 1942 roku), Armis Sims (jego ojciec był wyższym pracownikiem na kopalni Milowice w Sosnowcu. W obawie przed Niemcami podpisał Volkslistę, dzięki której chciał wydobyć z Oflagu swojego jedyne go syna. Armis odmówił, zerwał kontakty z ojcem, a później zginął w obozie jenieckim od zrzuconej na zabudowania obozu bomby alianckiej – według wersji władz okupacyjnych), z którym przez pięć lat siedziałem w jednej ławce, dalej Zdzisław Dołęga – Jasiński wielbiciel Napoleona, oficer, absolwent Podchorążówki Artyleryjskiej (w czasie działań wojennych września 1939 roku przedostał się do Rumunii, następnie do Francji, Anglii, gdzie był adiutantem gen. Mariana Kukiela. Pod koniec wojny awansowany do rangi pułkownika. Zginął w katastrofie samochodowej w Anglii, w 1948 roku). Szóstym i siódmym musz-

²⁰ **Stefan Choiński** – działał pręźnie w *Błękitnej Dwójce* – drużynie harcerskiej Męskiej Szkoły Handlowej w Sosnowcu (obecnie IV LO im. Stanisława Staszica). Od 1931 r. drużynowy. Zginął 1 lipca 1941 niosąc pomoc dwóm topiącym się kolegom.

kieterem byliśmy brat i ja. I tylko my dwaj – prawdopodobnie (co ze Smogorzewskimi?) – do dziś żyjemy!

Nasza przyjaźń była szlachetna i bezinteresowna. W ciągu każdego roku, już po maturze, spotykaliśmy się spędzając czas na rozmowach i słuchaniu muzyki. Wojna wszystko przerwała. Jedynie nad grobem przyjaciela Stefana wygłosiłem w imieniu nas wszystkich przemówienie żałobne, pełne akcentów patriotycznych. Ale i o tym później...

Po podjęciu dokumentów maturalnych, zaraz następnego dnia pomaszerowaliśmy – brat i ja – pod opieką ojca do Częstochowy, by podziękować – zgodnie ze złożonym ślubowaniem – Matce Boskiej za zdanie matury.

Miałem rozpocząć nowy, bardzo ważny okres w moim życiu!



Zawiadomienie szkolne

№ kat. 13. Marcin Kamiński uczeń, 3^o oddziału
7 klasowej publicznej szkoły powszechnej № 9 w Sosnowcu
urodzony dnia 11 listopada 1913 r. w Artemiopolu nr. - Rest.

wykazał w roku szkolnym 1923/24 następujące postępy:

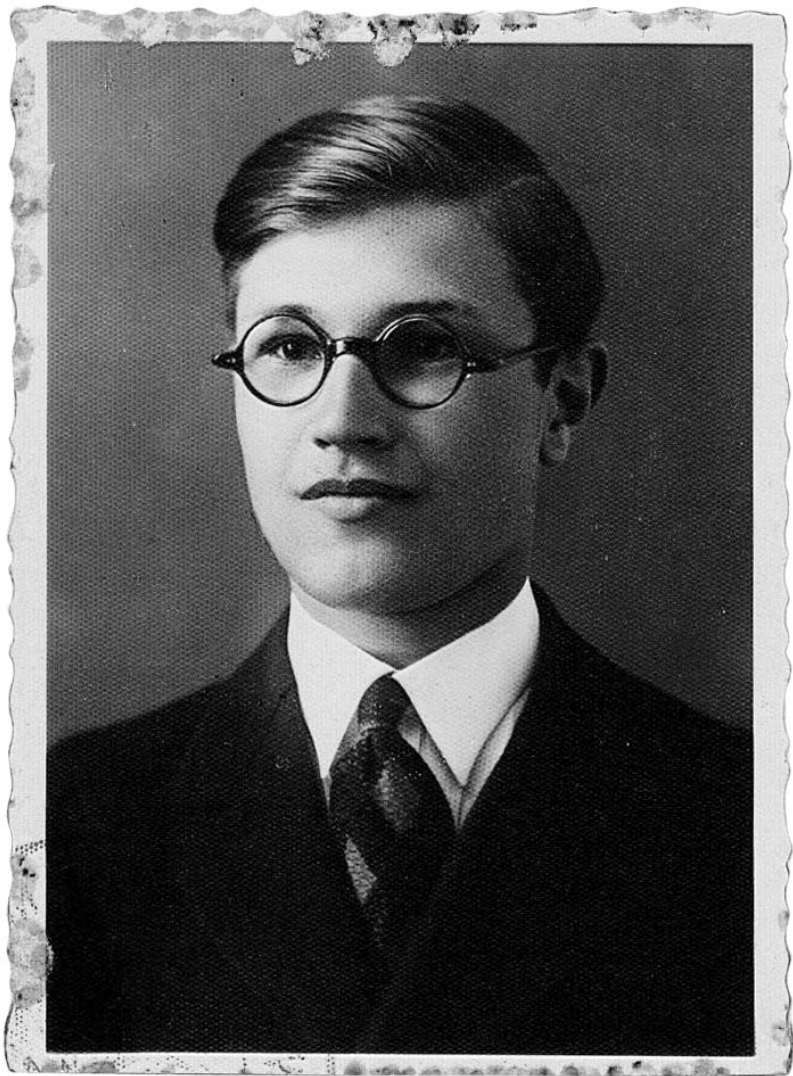
Tercjaty	Sprawowanie	Pisność	Religia	Język polski	Język	Kształność z geometrią	Przyroda	Historja	Geografja	Rysunki	Roboty ręczne	Gry i Gimnastyka	Śpiew	Forzytek	Roboty ręczne	Opieki o dziewcz. i chł.	Podpis wychowawcy	Podpis rodziców lub opiekunów
I. 1. 9. — 31. 12.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	S. Kamiński	S. Kamiński
II. 1. 1. — 31. 3.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	S. Kamiński	S. Kamiński
III. 1. 4. — 30. 6.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	S. Kamiński	S. Kamiński
Stopień roczny	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	ok.	S. Kamiński	S. Kamiński

Promocja do oddziału 4^{go} ok.
Kierownik szkoły: S. Kamiński



Sosnowiec, ul. Żabińki, Grębienie, Str. 4A.

I. Zawiadomienie szkolne z Publicznej Szkoły w Sosnowcu, klasa III – 1923/1924



2. Zdjęcie maturalne, 1934 r.

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Kawiński Marcin



urodzony dnia 11 miesiąca listopada
roku 1913 w Strumieńcach wielkich
województwa kieleckiego
wyznania rzymsko katolickiego
po ukończeniu nauki w Państwowym
Gimnazjum Męskim
im. Stanisława Staszica
w Ostrowcu

do którego był przysięgłym

1 sierpnia roku 1929, zdawał w Ostrowcu roku 1934

gimnazjalny zwyczajny egzamin dojrzałości typu matematyczno-przyrodniczego wobec Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, powołanej przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Krahowskiego
pismem z dnia 15 maja 1934 roku Nr II.1603/34 i otrzymał następujące oceny ostateczne z przedmiotów egzaminacyjnych:

z religii	bardzo dobra
z języka polskiego	dostał tenia
z języka niemieckiego	dostał tenia
z historii wraz z nauką o Polsce współczesnej	_____
z przyrodzności	dostał tenia
z fizyki wraz z chemią	_____
z matematyki	dostał tenia

3. Świadectwo dojrzałości Państwowego Gimnazjum Męskiego im. S. Staszica z dnia 18 czerwca 1934 r.

Poza tem uzyskał ostatnie oceny roczne w klasach VI — VIII
(lub o wiednie oceny na egzaminie wstępnym do wymienionego gimnazjum)

z przedmiotów następujących:

- | | |
|--|----------------------------|
| z historii wraz z analizą oświecenia <i>dobrze</i> | z śpiewu i muzyki _____ |
| z fizyki - chemii - <i>dobrze</i> | z ćwiczeń cielesnych _____ |
| z propedeutyki filozofii <i>dobrze</i> | _____ |
| z rysunku <i>dobrze</i> | _____ |

Państwowa Komisja Egzaminacyjna uznała *Ramiuskiego*
Marcina za dojrzałego do studiów
wyższych i wydaje *mu* niniejsze świadectwo.

Sosnowiec

dnia *18 czerwca* roku *1934*

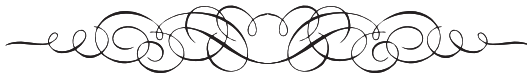
Nr *461/15*



PRZEWODNICZĄCY
PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

CZŁONKOWIE
PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

Włodkowski
Witoldy
Stanisław Malecki
W. Adamiński
Łępczyński
Dr. M. Kowalewski
Dr. Stowarz
Dr. M. Szałowski



NIE MA LUDZI NIEZASTĄPIONYCH

Z dr Marcinem Kamińskim – sekretarzem Płockiego Towarzystwa Muzycznego rozmawia Wojciech Łęcki, PETRO ECHO – 1984

— *Znają Pana w Płocku. Czy jest Pan rodowitym płocczaninem?*

— Ależ skąd! Urodziłem się 11 listopada 1913 roku. Mój ojciec, dyżurny ruchu kolei warszawsko-wiedeńskiej, wielki patriota, uczestnik rewolucji 1905 roku, pierwszemu synowi (mojemu bratu) nadał na cześć Kościuszki historyczne imię Tadeusz. Z moim imieniem było sporo kłopotów. Wreszcie zdecydowano, że... „*skoro urodziłem się na Marcina, to niech będzie Marcin*”. To chłopskie imię okazało się dla mnie bardzo szczęśliwe. W piątą rocznicę moich urodzin dzień 11 listopada ogłoszono Świętem Niepodległości, dzięki czemu nigdy tego dnia nie chodziłem do szkoły. W latach trzydziestych występowałem w tym dniu na różnych akademiach w roli pianisty lub wygłaszając okolicznościowe przemówienia, co pozostało mi do dziś.

— *Długa była Pańska droga do Płocka?*

— Do pięćdziesiątego roku życia mieszkałem na terenie Zagłębia Dąbrowskiego. Przed wojną ukończyłem słynne gimnazjum im. Staszica w Sosnowcu oraz studia pianistyczne i kompozytorskie w Śląskim Konserwatorium Muzycznym w Katowicach, w klasie

Aleksandra Brachockiego ucznia Ignacego Jana Paderewskiego. Okupację spędziłem w Sosnowcu, prowadząc konspiracyjną polską szkołę muzyczną oraz działalność konspiracyjno-polityczną. Byłem m.in. informatorem radia zagranicznego (Paryż, Londyn, Nowy Jork, Moskwa). Moja radiostacja znajdowała się w mieszkaniu znanego śpiewaka operowego Stanisława Kruzera. Prowadziliśmy nasłuchy w kilku językach, sporządzając odpowiednie biuletyny informacyjne dla prasy podziemnej.

Po okupacji znalazłem się w Gliwicach, gdzie założyłem Instytut Muzyczny im. Paderewskiego²¹. Zostałem jego pierwszym dyrektorem. Placówka przekształciła się później w Państwową Szkołę Muzyczną I i II stopnia im. Ludomira Różyckiego. Byłem także inicjatorem budowy pomników F. Chopina i A. Mickiewicza w Gliwicach oraz organizatorem życia muzycznego na terenie Zagłębia i Śląska.

W 1964 roku na skutek konfliktów małżeńskich zdecydowałem się na opuszczenie Zagłębia. Z Ministerstwa Kultury i Sztuki otrzymałem wtedy dwie propozycje pracy: jedną w Warszawie, drugą w Płocku. O wyborze Płocka zdecydowały właściwie dwie sprawy: pierwsza – to sam Płock, który znałem wcześniej i który mi się wtedy bardzo podobał, a druga – to pochodzenie. Mój ojciec pochodził z Mazowsza, gdzie moi dawni przodkowie otrzymali nadania od króla

²¹ **Instytut Muzyczny im. I. J. Paderewskiego w Gliwicach** (obecnie Gliwicka Państwowa Szkoła Muzyczna I i II st.) – utworzona 21 marca 1945 r. przez Marcina Kamińskiego (w skróconym roku szkolnym 1945/46 posiadał ok. 60 uczniów). Nauczycielami byli: **Stefania Różycka** (śpiew solowy), **Jadwiga Barszczewska** i **Janusz Bielecki** (fortepian), **Marcin Kamiński** (fortepian, przedmioty teoretyczne, organizator audycji muzycznych).

Uroczyste otwarcie Instytutu Muzycznego, transmitowane przez radio odbyło się 17 czerwca 1945 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki zatwierdziło działalność instytutu 12 listopada 1945 r. nadając nazwę: Szkoła Niższa, Średnia i Umuzykalnienia. Z dniem 1 czerwca 1951 r. Instytut został przekształcony w Państwową Szkołę Muzyczną I i II stopnia (szkoła nie otrzymała zezwolenia na noszenie imienia I. J. Paderewskiego), a w 1961 r. staraniem M. Kamińskiego szkoła otrzymała za patrona Ludomira Różyckiego.

Władysława Łokietka za udział w bitwie pod Płowcami. Wróciłem na *śmieci* swoich przodków. W Płocku zostałem dyrektorem Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia. Korzystając z pełnego poparcia władz miasta ówczesnego woj. warszawskiego, podjąłem wielokierunkowe starania, mające na celu rozbudowę płockiej placówki. Bardzo pomocny był mi tutaj ówczesny wiceprzewodniczący Miejskiej Rady Narodowej Franciszek Dorobek²². Z dniem 1 września 1968 roku moja szkoła przekształciła się w PSM I i II stopnia im. Karola Szymanowskiego.

— *Dlaczego im. K. Szymanowskiego?*

— W Płocku działał przez wiele lat znany zbieracz folkloru kurpiowskiego ks. Władysław Skierkowski, którego zbiory m.in. *Puszczka kurpiowska w pieśni* wydawało po 1928 roku Towarzystwo Naukowe Płockie²³. Folklorem tym zainteresował się Karol Szymanowski, który wielokrotnie przyjeżdżał do Płocka i pobliskiej Imielnicy,

²² **Franciszek Dorobek** (1922-1981) – płocczanin, jeden z najbardziej zasłużonych obywateli Płocka. Ekonomista, historyk, muzykolog, teatrolog, działacz i organizator oświaty, specjalista nauk społecznych i drukarstwa, nauczyciel i publicysta. W latach siedemdziesiątych XX wieku był inicjatorem i współzałożycielem (wraz z Marcinem Kamińskim) Płockiej Orkiestry Kameralnej (obecnie Płockiej Orkiestry Symfonicznej) i Teatru Płockiego. Był także inicjatorem budowy Szpitala Wojewódzkiego w Płocku – Winiarach i amfiteatru w rejonie Wzgórza Sieciecha, jak i organizatorem Ogólnopolskich Festiwali Folkloru i Sztuki Ludowej. Za działalność na rzecz popularyzacji sztuki ludowej wyróżniony prestiżową Nagrodą im. Oskara Kolberga (1979).

²³ **Towarzystwo Naukowe Płockie** (łac. *Societas Scientiarum Plociensis*) – jedno z najstarszych towarzystw naukowych w Polsce działające do dnia dzisiejszego. Założone w 1820 r. przy Szkole Wojewódzkiej Płockiej w celu gromadzenia materiałów dotyczących Ziemi Płockiej oraz pracy nad rozwojem i poprawieniem warunków gospodarczych i kulturalnych tego regionu. Sekretarz Towarzystwa Kajetan Morykoni zorganizował pierwszą bibliotekę publiczną w Płocku oraz muzeum historyczno-przyrodnicze, jako wspólne placówki. W 1831 po klęsce powstania listopadowego oficjalna działalność TNP została zawieszona. Wznowiono ją w roku 1907. TNP posiada trzy oddziały: w Sierpcu, Wyszogrodzie i Łęczycy. Od początku swojego istnienia Towarzystwo prowadzi znaną w całym kraju Bibliotekę im. Zielińskich.

do ks. Skierkowskiego. W wyniku tej współpracy Szymanowski skomponował pieśni kurpiowskie: 6 na chór mieszany i 12 na głos solowy z akompaniamentem fortepianu. Kiedy więc w lutym 1945 roku przybył do Płocka znany muzyk i kompozytor prof. Tadeusz Paciorkiewicz²⁴, założonemu przez siebie Ludowemu Instytutowi Muzycznemu nadał imię Karola Szymanowskiego.

— Czy jest Pan zadowolony z tego, co udało się w Płocku zrobić dla muzyki?

— Całą działalność oparłem na Płockim Towarzystwie Muzycznym, które od początku mojego pobytu realizowało zadania wspólnie z Państwową Szkołą Muzyczną. Podjęliśmy się organizacji comiesięcznych koncertów z cyklu *Spotkania na pięciolinii*, których od 1965 roku odbyło się dotychczas około 400. W czerwcu 1971 roku PSM przeniosła się do obiektu przy ul. Kolegialnej 23 (po dawnym SN) z własnym internatem i stołówką. Ważne było także dążenie do utworzenia zawodowej orkiestry symfonicznej jako objazdowej dla Mazowsza, Kurpi i Podlasia. Podjęta została w tym celu uchwała podczas sejmików kultury (miejskiego i wojewódzkiego) odbytych w Płocku (czerwiec 1966) o powołaniu orkiestry. Potwierdziły ją władze m. Płocka. W 1975 roku, gdy Płock został miastem wojewódzkim, podjęto decyzję o zorganizowaniu orkiestry przy Płockim Towarzystwie Muzycznym, z dotowaniem jej z funduszy miasta i województwa płockiego. Zostałem dyrektorem tej orkiestry, a jej kierowni-

²⁴ **Tadeusz Paciorkiewicz** (1916-1998) – kompozytor, pedagog i organista. Absolwent Konserwatorium Warszawskiego w klasie organów Bronisława Rutkowskiego i kompozycji w klasie Kazimierza Sikorskiego w PWSM w Łodzi. Założyciel Podstawowej i Średniej Szkoły Muzycznej w Płocku (1945 r.), w której był dyrektorem do 1949 r. Organizator życia muzycznego na Mazowszu. Wykładowca w PWSM w Łodzi oraz w Warszawie (w latach 1963-1969 – Dziekan Wydziału Kompozycji, Dyrygentury i Teorii, w latach 1969-1971 – Rektor w tejże uczelni). Za zasługi dla polskiej kultury odznaczony wieloma nagrodami i wyróżnieniami.

kiem artystycznym i dyrygentem został znany mi od lat mgr Marian Lewandowski²⁵ z Warszawy. Pierwsze koncerty, poświęcone muzyce polskiej, daliśmy w Teatrze Płockim (...) w styczniu 1976 roku. W tym samym roku daliśmy łącznie 34 koncerty, a wysoki poziom zespołu spowodował przekształcenie się orkiestry w przedsiębiorstwo państwowe z dniem 1 stycznia 1977 roku. Było to osiągnięcie nienotowane dotychczas w kraju. Nie zdarzyło się bowiem dotychczas, żeby po roku pracy orkiestra przeszła na finansowanie z budżetu państwa. Obecnie zarówno PSM jak również Płocka Orkiestra Kameralna są wysoko cenionymi instytucjami w kraju. (...)

Wielu absolwentów naszej szkoły po ukończeniu studiów muzycznych pracuje z dobrymi rezultatami w swoim zawodzie – na stanowiskach nauczycieli muzyki, instrumentalistów, śpiewaków operowych (...).

— *Czy spełniły się w Płocku również Pańskie plany osobiste, związane z muzyką?*

Po przyjeździe do Płocka uważałem, że „serce zostawiłem na Śląsku, a doświadczenie przeniósłem na Mazowsze” Dziś uważam, że Płock i region płocki stały się bardzo cennym terenem działania dla muzyka, kompozytora i działacza muzycznego. Związałem się na tyle z tym regionem, że gdy umrę, tutaj chciałbym być pochowany.

Muszę stwierdzić, że dążenia moje, mające na celu uczynienie z Płocka i Mazowsza płockiego regionu muzycznego spełniły się. Widzę także dalsze perspektywy rozwoju. Obecnie najbardziej związany jestem z Płockim Towarzystwem Muzycznym, w którym pełnię obowiązki sekretarza zarządu nieprzerwanie od 20 lat. Obecny zarząd PTM z prezesem Januszem Majewskim na czele prowadzi dość sze-

²⁵ **Marian Lewandowski** – dyrygent Płockiej Orkiestry Kameralnej. Prowadził orkiestry w Lublinie, Szczecinie, współpracował z licznymi orkiestrami i teatrami w kraju jako kierownik muzyczny licznych przedstawień operetkowych w latach 50. – 70. XX w.

roczą działalność. W 1982 r. zorganizowaliśmy obchody roku Karola Szymanowskiego, poświęcone 100 rocznicy urodzin wielkiego twórcy muzyki polskiej. Odnieśliśmy wówczas ogromny sukces, bowiem zgodnie z orzeczeniem Ogólnopolskiego Komitetu Obchodów Roku Karola Szymanowskiego oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki zajęliśmy I miejsce wśród tego typu instytucji w kraju. Zostałem wtedy odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 1983 roku jako jedyny ośrodek muzyczny w kraju zorganizowaliśmy obchody Roku Ludomira Różyckiego, w 100 rocznicę urodzin twórcy polskiego baletu narodowego. Patronat nad obchodami objęło Ministerstwo Kultury i Sztuki. Bieżący rok poświęciliśmy muzyce polskiej. Na obchody złożyło się wiele imprez muzycznych, w tym koncerty kompozytorskie prof. Tadeusza Paciorkiewicza, spektakle Opery z Bydgoszczy (inscenizacja *Halki* Stanisława Moniuszki w Teatrze Płockim). Koncerty Płockiej Orkiestry Kameralnej pod dyrekcją prof. Władysława Kabalewskiego z udziałem znanej pianistki Barbary Hesse-Bukowskiej, koncerty artystów muzyków z Akademii Muzycznej w Katowicach. W Muzeum Mazowieckim odbył się galowy koncert Chóru Męskiego *Harfa* z Warszawy pod batutą Kazimierza Bukata. Imprezy te były subwencionowane z funduszy Ministerstwa Kultury i Sztuki. Obecnie PTM przygotowuje bogaty program imprez na 1985 r., który uchwałą UNESCO przejdzie do historii jako Rok Muzyki Światowej. Uczymy 300 rocznicą urodzin Jerzego Fryderyka Haendla i Jana Sebastiana Bacha (luty, marzec) oraz 125 rocznicę urodzin Ignacego Jana Paderewskiego i 150 rocznicę urodzin Henryka Wieniawskiego oraz 900-lecie urodzin Bolesława Krzywoustego. Przystąpiłem właśnie do komponowania kantaty oratoryjnej do tekstu Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego²⁶. Wykonają ją soliści

²⁶ **Stanisław Ryszard Dobrowolski** (1907-1985) – pisarz, poeta i tłumacz, członek grupy poetyckiej *Kwadryga*. Uczestnik powstania warszawskiego. W okresie okupacji niemieckiej działał w konspiracji literackiej, brał udział w powstaniu warszawskim. Był więźniem oflagów w Łambinowicach i Gross

i chór *Arion* z Poznania oraz Płocka Orkiestra Kameralna. Ponieważ wszystkim zrealizowanym i planowanym zamierzeniom poświęciłem wiele pracy, uważam je także za moje osobiste osiągnięcia na polu popularyzacji muzyki. Dobra frekwencja na imprezach jest dla nas najwyższą nagrodą.

— *Jak Pan ocenia wzrost kultury muzycznej społeczeństwa płockiego w czasie 20 lat swojej działalności?*

— Popelniliśmy ogromny błąd wycofując z programów nauczania w szkołach podstawowych i średnich przedmiot *śpiew i muzyka*, który przez szereg pokoleń odgrywał dużą rolę w wychowaniu muzycznym społeczeństwa. Słuchanie muzyki wymaga należytego skupienia. Tylko wtedy jej odbiór daje głębokie przeżycia wewnętrzne. Do przeżycia tych doznań musi być człowiek od wczesnego dzieciństwa przygotowany.

— *Czy w Płocku istnieje odpowiedni klimat dla rozwoju środowisk twórczych?*

— Uważam, że w Płocku nie ma odpowiedniego klimatu dla rozwoju lokalnych środowisk twórczych. Mogłyby one rozwinąć się, gdyby zostały odpowiednio wsparte przez miejscowe władze. Dotyczy to także środowiska literackiego i plastycznego. Jeśli chodzi o mnie, to wydawać się może paradoksem, że moja praca naukowa o życiu i twórczości Ludomira Różyckiego wydana będzie w Bydgoszczy, a rozprawa doktorska o wybitnym płocczaninie Faustynie Piasku, oceniona bardzo wysoko przez recenzenta

Born. Po wyzwoleniu Warszawy wstąpił się do Ludowego Wojska Polskiego, gdzie pełnił funkcje oficera politycznego i korespondenta wojennego. Redaktor czasopisma *Polska Zbrojna*. Zastępca redaktora naczelnego *Nowin Literackich*. Został powołany na dyrektora departamentu w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Prezes ZAiKS (1949-1968).

prof. Mikołaja Kozakiewicza²⁷, do tej pory pozostaje, w maszynopi-
sie i prawdopodobnie także zostanie wydana w Bydgoszczy. Mogę
stwierdzić, że dotychczas żaden z moich utworów muzycznych
nie został opublikowany przy pomocy finansowej władz płockich.
W innych ośrodkach moi koledzy znajdują w tym zakresie daleko
idące wsparcie. Nie chodzi tu o mnie personalnie, ale o twórców
z różnych dziedzin, działających na terenie Płocka, którym powinna
być podana pomocna dłoń zachęcająca do działania.

— *Czy wychował Pan tylu następców, nie obawia się przekazania
swoich obowiązków w młodsze ręce?*

— Nie ma ludzi niezastąpionych...



²⁷ **Mikołaj Kozakiewicz** (1923-1998) – socjolog, polityk, publicysta. Marszałek Sejmu, poseł na Sejm (1989-1993), profesor nauk humanistycznych, autor kilkudziesięciu książek z zakresu seksuologii, socjologii, wychowania i oświaty.

PÓLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

UNIwersYTET WARSZAWSKI

Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych

DYPLOM

OBYWATEL **Marcin Kamiński**
URODZONY DNIA **11 listopada** 19 **13** ROKU
w **Strzemieszycach Wielkich**
NA PODSTAWIE PRZEDŁOŻONEJ ROZPRAWY DOKTORSKIEJ POD TYTUŁEM
"**Faustyn Masek - życie i działalność**".

ORAZ PO ZŁOŻENIU PRZEPISANYCH EGZAMINÓW UZYSKAŁ STOPIEŃ
NAUKOWY

DOKTORA

nauk politycznych

NADANY UCHWAŁĄ RADY Wydziału Dziennikarstwa i Nauk
Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego

Z DNIA **4 czerwca** 19 **80** ROKU

Warszawa DNIA **10 grudnia** 19 **80** ROKU

ВІДОМОТОВ

РЕКТОР

ДІЯКАМ

Prof. dr hab. Antoni Kajkiwicz

Prof. dr hab. Henryk Samsonowicz

Prof. dr hab. Bartłomiej Goska

NR **3867**



4. Dyplom uzyskania stopnia naukowego doktora z dnia 10 grudnia 1980 r.

Płock, 1. X. 1984.

L. dn. /84.

w Pani
Profesor Barbarze Hesse-Bukowskiej
ul. Wielicka 54
Warszawa

wielce kochana i Łaskawa Pani Profesor!
Zarząd Płockiego Towarzystwa
Abstrakcyjnego ma przyjemność typu listem
wyznaczyć kanonowej Pani Profesor
wynagrodzenie w wysokości podległości
za jej wyprzedzanie w organizowa-
mych przez nas z okazji 40- lecia
Polski ludowej D. N. I. F. C. H. M. U. Z. Y.
K. I. P. O. L. S. K. I. E. J. na Marszu
Płockim, z wyłączeniem w programie
miał koncertów Płockiej Orkie-
stry Kameralnej "Koncertu forte-
pianowego e - moll" Fryderyka
Chopinia.

5. Pismo do Barbary Hesse-Bukowskiej z dnia 1 października 1984 r.

L. dr. 184

Płock, 1. X. 1984.

Wspaniałemu Profesorowi
Tadeuszowi Paciorkiewiczowi
ul. Jarmonewskiej 9m25
01-863 Warszawa

Karowany Panie Profesore!

Przed wyjazdem powracającym
do siebie przestał się walczyć podjętymi
kwestiami za przetrwanie namu listy,
pełne stois umian pod naszym
adresem, w zdygnizowanych
poczcie namu Tawarystwu Murynem
Kwartalnik Kempenski odtwili
Pana Profesora, inougenj-nych
17 wulicim St. DNI MUZYKI
POLSKIEJ na Marsym Płockim.
Koncerty spotkaiy w 2 kultur-
jastymy ocean studenci tak w
hiergoc, jak iw Płocku, a sylkawa-
nie program: Kwartetu Snyrtko-
wegs, Kwartetu fortepianowego
i wylku piersi "Cisior zieni",
poczcie makawtych sylkawa-
kows

6. Pismo do Tadeusza Paciorkiewicza z dnia 1 października 1984 r.

na równe postawie w naszym
państwie.

Stępnym więc symon namulim
iarnadim Paum Katerowid, a także
— za jego przewodnictwem —

wykonawcom: Kwartetowi
Symfoniczemu "VARSOVIA"
spiewance p. Bożenie Betley,

— Siemondziejowar pianistom:
pani Alinie Lidzkiej i paumfencem
Witkowitkiem.

W najbliższych dniach prawiemy
sobie pukać i wyjęki prawić
owar wykonane fotografie.

2 powariamim.

Za Zarząd:

[Sekretarz:] [Prezes:]

Telegram 3.X.1984r.

Profesor Stanisław
Tomczyński Staszica 13
Częstochowa

Brak wiśni od Wirginia
Smukajewy a fire try
recitale 23 Kutno
24 ~~Sanjilli~~ Pióck
Koncerty orkiestrowe
25 próby 26 try
~~koncerty~~ Gekam
telegram potwierdzenia
pozdrowienia
• Maria Kamińska

7. Telegram do prof. Stanisława Tomczyńskiego z dnia 3 października 1984 r.

telegram

Profesor Stanisław Tomczyński
Staszica 13 Czystańska
Gostatem telegram Pawarany
przyjeżdża dundriestep.
władzostep Co robić
Pneteryzi ~~konieczne~~^{nie}
Wekam telefoni wie-
roslein Perdrewnia
Wami Kaminicz

L. dr. / 84

Płock, 20. IV. 1984r.

5X

Biblioteka Narodowa
Zbiory Muzyczne
Plec Kwartalnik 5

Warszawa

Na ręce Pani Wandy Bogdanugi
- Popielowej

Powstają już na ustaleniu, podjęte
w rozmowie telefonicznej, ramy Płock
Kamerny Orkiestra Muzyczna im. W. Ładumy
w związku z 100-letnim urodzin Apoli
narego Bełuto, pragnie przystąpić do
wznowienia serii wiele gwiazd polskiej
kultury i sztuki Republiki Mu-
zyki DNI MUZYKI na MAZOWSZ

PROCEM (17-30 września 1984 roku)

^{z wykonaniem}
~~Kompozycji symfonicznej~~ Apolinarego
Bełuto p.t.: "Cyrano de Bergerac"
(poemat symfoniczny). Utwór wykona
Płocka Orkiestra Kameralna 28. IX.
br. pod dyrekcją prof. Władysława
Kabalewskiego

Niniejszym listem informujemy Cię
z uprzejmą prośbą o odbiór - na raz

9. Pismo do Biblioteki Narodowej w Warszawie z dnia 20 kwietnia 1984 r.

Kont - na kserografie:

1) Pastyżki (cenaś!) ^{wszystkie}

2) Głównie edycje stronicy, w

tytu: a) I - skrypcy - 6 egzemplarzy

b) II - skrypcy - 5 " "

c) albośki - 4 egzemplary

d) Wialouela - 4 " "

e) Kontybasy - 3 " "

inne gteny (dnewo, bladna, pesten-
sia) po jednym egzemplary.

Cenaśi materiałow, po wyliczowaniu,
porozumieju pnestai' na adw.: Płockie
Towarzystwo Muzyczne, ul. Biłmota 3a,
09-402 Płock. Sprawdzai' pilna!

Naleinośi pokazyjeemu na pod-
stawie wystawionego wadumisku,
millewem bankowem na podane
Konto.

Z penariatem i podpisem wreciem!

Za Zarys:

dyr. [nieczytelny]

[nieczytelny]

[nieczytelny]

L. Dr. 36/84

Płock, 11 grudnia 1984 r.

Wład Mijski
w Płocku

na ręce Prezydenta Miasta,
dłż. Fr. Jankina Majewskiego

W dniu 26 lutego 1981 roku zmarł nagle w wieku 59 lat podras peturicinin obywatel w stwieseyde jeden z najbardziej zastawionych obywateli Płocka stwelon 40-letnia Polska diudowej, młdr Francinek Dorobek.

Przed długie lata zmarły pracowal w płockim ukalnicwie, jako pedagoo, dyrektor ukali; był także włałdca 1961-1970 ukil prowadzonym Prezydium MRN, a przed tym kadłdgi radnym MRN w Płocku, prowadzonym re regu Komisji.

dłż. Fr. Dorobek piiril funkcje dyrektora Płockiej Smkarni akuydeusowej a ostatnio pracowal na stanowisku dyrektora Osjewodkiego Domu Kultury w Płocku.

10. Pismo do Urzędu Miejskiego w Płocku z dnia 11 grudnia 1984 r.

do dratwa i potemu wyrozić
regularnie w Towarzystwie Nau-
kowym Płockim, później tam prze-
długie lata odpowiadał funkcje
kierownika sekretaratu generalnego i pre-
wodniczącego Komisji Wykładowej
TNP. Fr. Borowiek był autorem
wielu prac o charakterze nau-
kowo-badawczym, związanych
z historią miasta i regionu płoc-
kiego. W latach 1975-1981 był pre-
zesem Płockiego Towarzystwa Nauko-
wego im. W. Salderniana, w tym oc-
wałiny pod dyktando i wiodący
Towarzystwa, które dziś należy
do przedzinych w kraju,

Celem ^{państwa} urodzenia i urodzenia rozgani-
zowania w Płocku przez akademia i in-
cydrosi i tabelaryczną, a prasa krajowa
i lokalna zamierzała o Niemce i
artykułów w sprawie i innych.

Płockie Tow. Naukowe podjęło
uchwałę w marcu 1981 roku postulu-
jącą, by w Płocku jedna z ulic
miasta nazwana została imieniem

Piódł, 19. IX. 84.

Notatka

W środę, 19. IX. o godz. 18.55
"Telewizja Polska" w ramach "Tele-
wizyjnego Kalendarium Warszawskiego"
miejsc 3 (okato) minuty poświęca
na temat "Dni Murzyki na Ma-
zowskim Płockim" Płockiego
Tow. Muzycznego. Spis treści
podkreślona Coquty program
i w programie, w którym z 40-le-
ciem Polski dudowej; wspania-
ta o odkrytym jui Koncercie
Kompozytorskim prof. T. Pa-
ciarskiego, dodaje:

"Jutro gości w Płocku Gaudysta-
wa Opera z Bydgoszczy, która
wystawi operę "HAKA" Steu-
stawa Mousselli w sali Teatru

Podkiego spektakl o godn.
16 i 20-tej.

tytuł: Zauważ
(w słowie) —

A. Kucini

do Marii Kamińskiej
Płock

4. III. 1984 r.

Z płockiej estrady Kowalskiej

W latach 1964-1976 sprawowałem był
pod egidą "Spółka na piśnioliii" Towarzystwa
Muzycznego recitale i Kanatki Kowalskiej
we z udziałem nauczycieli płockiej
Młody Muzycznej. Zupreży uczyły i
mającym powodzeniem i miały dwie
mające nie tylko upowszechnienie
- muzyczne, ale przede wszystkim
wychowawcze, stając się wzorem i rad
to do wyrażonej pragnienia dla uczniów
Młody Muzycznej.

Później nastąpiła cisza...

I oto - po latach przerwy - pojawił
się na estradzie płockiej plawicki i słu
lenia muzycznego, dzięki inicjatywie
dyrektora Płockiej Orkiestry Kameral
nej, z recitalem inspirującym był
wykazanemu płockiej Młody, a stał
nie absolwent Akademii Muzycznej
w Bydgoszczy, dziś nauczyciel Państ.
Szkoły Muzycznej T. II stopnia im.
Karła Tytusowskiego w Płocku
- Mariusz Tytman.

12. Z płockiej estrady z dnia 4 marca 1984 r.

Podkcie Towarzystwa Muzyczne im. Wacława Gajewskiego

KONCERTY

dla uczczenia 300-lecia urodzin
Johanna Fryderyka Händla i Jana Sebastiana Bacha
pod patronatem
Ministerstwa Kultury i Sztuki Departamentu Muzyki
terminarz koncertów:

Pałac Muzyczny, 11 marca 1985 roku, godzina 17.00
- sala Pałacu Sztuki Muzycznej w Kulturze

Wtorek, 12 marca 1985 roku
godz. 12.00 - sala Pałacu Sztuki Muzycznej w Kulturze
godz. 17.00 - sala Muzeum Marii Szymanowskiej w Piórkach

Środa, 13 marca 1985 roku, godzina 16.00
- sala Dworku Kultury "Emit" w Żychlinie

w wykonaniu:
BARBARA BURZYŃSKA - skrzypce
JADWIGA KOCHARCZYK - fortepian
CZESŁAW GAŁKA - śpiew (bas)

przewodniczący:
PROF. DR LEON MARKIEWICZ

w programie
utwory fortepianowe, skrzypcowe oraz pieśni i arie
Johanna Sebastiana Bacha i Johanna Fryderyka Händla
zaproszenie i wyprzedzenie przez Towarzystwo Muzyczne
w Piórkach, ul. Piłsudskiego 3a, tel. 289-02

13. Projekt plakatu koncertów z 11-13 marca 1985 r.

Płock, 1985-07-26.

n. 185

Związek Kompozytorów Polskich
Oddział Warszawski
Rynek Starego Miasta 27
00-272 Warszawa

Powstał sobie devil, że przez 4 my
miesiące przebywałem na wiosennie
-letnim wybiegu w Barde Tu-
cholskiej, aż do list Kolegi z maja
br. dotarł do moich rąk dopiero
dwa dni.

Natychmiast więc pisałem, przegla-
jąc przede wszystkim, w imieniu
Płockiego Towarzystwa Muzycznego
swoją wiadomość, zdecydowanie gwał-
townie z powodu wyboru Pana Raf.
Władysława Stowżińskiego na pre-
zydenta naszego warszawskiego
Oddziału ZKP.

Na nowej, ważkiej i odpowie-
dzialnej funkcji, zynym wielu
piszących sukcesów i osiągnięci,
których celem niech będzie dalsze
zwiększenie polskiej muzyki
warszawskiej wśród warstwy nar.

14. Pismo do Związku Kompozytorów Polskich z dnia 26 lipca 1985 r.

nanego społeczeństwa.
Pracowa pod uwagę naszą
wieloletnią współpracę, z propo-
zycją wykonania tej myśli wśród
miejscowości Mawarna Płockie-
go, a w szczególności Płocka,
propozycja została przyjęta
 przez Wzrostki Oddział ZKP
i Płockie Tow. Muzyczne kilka
koncertów z udziałem Orkiestry
Kameralnej skrypla i dwu-
wira z Wawruki.

Orkiestra, przygotowana przez
p. prof. Władysława Kabalewskiego
z Akademii Muzycznej w Wawrze
podczas koncertu, organizowanego
na zamku w Płocku, i koncertu
Tury Chórowi Akademickim
Uniwersytetu Wawruki (dyrygent
chórni ^{imp.} K. Bukat), który wyk.
naczy "Magnifikat" J. S. Bacha
z współudziałem solistów i dołu
opiewanych muzyków (classici-
ci, obse d'amore). W Płocku do
zakreślenia obywateli 300-le-
cia urodzin J. S. Bacha.



MARCIN KAMIŃSKI

MOJE SPOTKANIE Z LACHMANEM

W rozwoju amatorskiego ruchu muzycznego śpiew zbiorowy spełniał zawsze wybitną rolę. Chóry były — i są nadal — poważnym czynnikiem kolektywnego, koleżeńkiego wychowywania swoich członków na drodze wiodącej do wspólnych celów: umiłowania pieśni ojczystej, budzenia patriotyzmu, czy rozwijania innych cennych zainteresowań.

Niemal u progu studiów muzycznych, gdy byłem jeszcze uczniem Państwowego Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Sosnowcu i równocześnie Instytutu Muzycznego w Katowicach, stanowiącego własność Stefana Mariana Stoińskiego, bezpośrednio zetknąłem się z magiczną potęgą śpiewu zbiorowego. Dzięki bliskiemu i coraz serdeczniejszemu kontaktowi z dyrektorem Stoińskim, który w owym czasie należał do przodujących działaczy muzycznych na Górnym Śląsku jako dyrygent, kompozytor, pedagog, pisarz i krytyk muzyczny, wstąpiłem we wrześniu 1931 roku do chóru mieszanego *Ogniw* w Katowicach. Dyrygentem i duszą działania chóru był właśnie Stoiński.

W repertuarze posiadaliśmy wybitne dzieła literatury chóralnej: J. F. Haendla Oratorium *Juda Machabeusz*, H. Berliozą Requiem, K. Szymanowskiego *Stabat Mater* i St. M. Stoińskiego *Wielką Modlitwę*.

Na Górnym Śląsku organizowane były koncerty, z których najlepiej pamiętam ten najpiękniejszy i najbardziej wzruszający — koncert w Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Na koncert przyjechał genialny twórca baletu *Harnasie*, by posłuchać w naszym wykonaniu pierwszy raz na Śląsku śpiewane swoje dzieło: *Stabat Mater*. Szymanowski musiał być zadowolony z wykonania, bo po występie podchodził do nas i podawał swą delikatną rękę, z dodaniem kilku życzliwych słów. Takich chwil się nie zapomina.

Wiele mówiło się w *Ogniwie* o Waławie Lachmanie i jego coraz sławniejszym chórze męskim, warszawskiej *Harfie*.

Do mego bezpośredniego spotkania się z twórcą doszło jednak dopiero w 1948 r. (...) Byłem organizatorem koncertu *Harfy* w Gliwicach. Koncert odbył się w wypełnionej po brzegi rozentuzjazzowaną publicznością auli Wydziału Mechanicznego Politechniki Śląskiej. Spędziłem wtedy zaledwie kilka godzin z Lachmanem i jego *harfiarzami*. Arcyharfiarz chwycił za serce swoją skromnością, graniczącą z zażenowaniem... Tak, Lachman był w każdym calu prawdziwym, pełnym prostoty, artystą.

Następnym razem spotkałem się z Waławem Lachmanem w smutnym dniu 16 października 1965 roku, gdy — jako delegat Płocka — składałem wieniec na płycie nagrobnej artysty w drugą rocznicę Jego śmierci. Dla uczczenia tej rocznicy, jako Płockie Towarzystwo Muzyczne i Państwowa Szkoła Muzyczna zorganizowaliśmy w rodzinnym mieście honorowego obywatela Płocka koncert w wykonaniu *Harfy* pod dyrekcją Jerzego Kołaczkowskiego²⁸.

²⁸ **Jerzy Kołaczkowski** (1907-1996) – dyrygent, kompozytor, publicysta, współzałożyciel i członek Rady *Kolekcji Leopolda Muzeum Niepodległości w Warszawie*, będącą nawiązaniem do tradycji przedwojennego Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa. Studia ukończył w Konserwatorium we Lwowie. Dyrygent

W rok później, dla uczczenia już trzeciej rocznicy śmierci Lachmana, odsłoniliśmy tablicę pamiątkową na frontowej ścianie domu, w którym urodził się twórca warszawskiej *Harfy*, kompozytor, wybitny działacz społeczny i muzyczny. Uroczystości odbyły się jednak dopiero w dniu 23 listopada 1966 roku ze względu na opóźnienie prac związanych z wykonaniem tablicy. Przed domem Lachmana przemówienia wygłosili przedstawiciele władz, a następnie połączone chóry płockich szkół oraz Płockiego Towarzystwa Muzycznego z towarzyszeniem orkiestry dętej Fabryki Maszyn Żniwnych pod dyrekcją Mieczysława Skurosza²⁹ odśpiewały szereg pieśni Wacława Lachmana. Tegoż dnia, w godzinach wieczornych, odbył się w sali kina *Przedwiośnie* wielki koncert chóru mieszanego Filharmonii Narodowej sprawującej patronat muzyczny nad Płockiem. Koncertem, poświęconym polskiej pieśni chóralnej, kolejno dyrygowali Roman Kuklewicz³⁰ i Jan Pogorzelski. Wspomniana impreza stanowiła końcowy akord bogatego programu uroczystości, związanych z obchodami 1000-lecia Państwa Polskiego i X Wieków Płocka.

W przeddzień piątej rocznicy śmierci Lachmana prezydium zarządu Płockiego Towarzystwa Muzycznego odbyło swoje zebranie, podczas którego postanowiono między innymi uczcić honoro-

chórów: *Echo Macierzy* we Lwowie (1933-1939), Polskiego Chóru Wojskowego w Anglii (1940), Chóru Towarzystwa Śpiewaczego *Harfa* w Warszawie (1958-1975), Chóru i Orkiestry Polskiego Radia (1946-1972).

²⁹ **Mieczysław Skurosz** – nauczyciel w plockich szkołach i ogniskach muzycznych klasy akordeonu. Na początku lat siedemdziesiątych XX w. członek Zarządu Płockiego Towarzystwa Muzycznego.

³⁰ **Roman Kuklewicz** (1908-1984) – dyrygent, uczeń M. Wolfstahla (skrzypce) i A. Sołtysa (dyrygentura) w Konserwatorium we Lwowie (1933). Dyrygent licznych chórów: Opery i Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku (1945-1953), Filharmonii w Krakowie (1953-1955), Filharmonii Narodowej w Warszawie (1955-1971).

wego obywatela Płocka przygotowaniem do druku pracy, mówiącej o życiu i działalności tego zasłużonego dla polskiego śpiewactwa kompozytora.

Źródło: wstęp do książki pt. *Zarys życia i twórczości Wacława Lachmana*, Marcin Kamiński, Towarzystwo Naukowe Płockie, 1969.



ŚLĄSKIE
KONSERWATORJUM MUZYCZNE
W KATOWICACH
ULICA WOJEWÓDZKA NR. 45

TELEFON NR. 328-08

Nr. U-333

KATOWICE, dnia 4 listopada 1936 r.

Pan
Marcin Kamiński
w/m

W związku z prośbami Pana z dni 20 i 28 IX.b.r. Dyrekcja zwiadamia, że zostaje Pan przeniesiony na wydział I. oraz zezwala Panu na udzielanie lekcji gry na fortepianie w szkole muzycznej im. Paderewskiego w Cieszynie.

Dyrektor
F. Kulczycki
/Faustyn Kulczycki/

15. Pismo ze Śląskiego Konserwatorium Muzycznego w Katowicach z dnia 4 listopada 1936 r.

PAŃSTWOWE KONSERWATORJUM MUZYCZNE
W KATOWICACH
L. zaśw. 52/45

Katowice, dnia 15 marca 1945

Z a ś w i a d c z e n i e

Dyrekcja Państwowego Konserwatorium Muzycznego w Katowicach zaświadcza niniejszym, że ob. K a m i Ń s k i Marcin, urodz. dnia 11.11.1913r. w Strzemieszycach, ukończył w roku 1939 letni kurs nauk na wydziale fortepianowym.



DYREKTOR:
F. Kulczycki
F. Kulczycki

16. Zaświadczenie z Państwowego Konserwatorium w Katowicach z dnia 15 marca 1945 r.

PAŃSTWOWA ŚREDNIA SZKOŁA MUZYCZNA
IM. L. RÓŻYCKIEGO
W GLIWICACH, UL. WIECZORKA NR 6 – TEL. 31-23

Sala Prezydium Miejskiej Rady Narodowej
GLIWICE, ul. Zwycięstwa
Czwartek, dnia 10 listopada 1960 r. o godz. 19

Wieczornica Muzyczna

p. t.

CHOPIN i PADEREWSKI

Ambasadorami Polski w Świecie
(Z okazji Roku Chopinowskiego i Roku Paderewskiego)

WYKONAWCA:

MARCIN KAMIŃSKI

prelekcja - fortepian

PROGRAM:

Fryderyk Chopin	Polonezy	b-moll cis-moll
	Nokturny	b-moll Des-dur
	Mazurki	F-dur a-moll gis-moll f-moll
Ignacy Jan Paderewski	Nokturn	B-dur
	Legenda	As-dur
	Menuet	G-dur
	Krakowiak	fantastyczny

gł. 12-1701-6.11.60-150-W11

17. Plakat Wieczornicy Muzycznej w Sali prezydium MRN w Gliwicach
z dnia 10 listopada 1960 r.

Maria Wolany - Różycka

Katowice, dnia 15. marca 1971r.
ul. Sobieskiego 24/5

Kochany Marcinie,

dziękuję serdecznie za list ostatni, na który nie mogłam zaraz odpisać, gdyż byłam chora. Przy moich licznych wyjazdach w teren na koncerty, zimnych salach, w jakich śpiewać musimy, możesz sobie wyobrazić, jak łatwo łapię przeziębienie.

Bardzo się cieszę z Twojej inicjatywy urządzenia Obchodów 70-lecia Płockiego Tow. Muzycznego, jesteś - jak zawsze - pełen entuzjazmu w sprawach muzyki. Na uroczystości przyjechać nie będę mogła, bo jestem tu związana koncertami. O telegramie będę w każdym razie pamiętała.

Dziękuję również za pracę i starania w związku z przygotowywaną książeczką o moim zmarłym Dziadku. Spodziewam się, że praca wypadnie dobrze i Sam będziesz z niej zadowolony

Oczekuję Twego zapowiedzianego przyjazdu, o dacie zechciej mnie uprzedzić.

Dużo miłych pozdrowień i serdecznych
wyrazów

Maria Różycka

Pan

Marcin Kamiński
dyrektor Państwowej Szkoły
Muzycznej I i II Stopnia
im. Karola Szymanowskiego
ul. Płocka 5.
11. Tumska 5.

P.S. Dzwoniłam do dep. Tomkowiaka
wicekierownika dep. Opery Bykowskiej jest
obecnie dep. Stess, jestem rozmawiając u
niego w sprawie projektu, faktycznie robimy wyjazd
i będą nie starali się walczyć, pozwolę powiedzieć
o rezultacie rozmowy i wyjazd w Katowice dnia
w następnym tygodniu.

18. List Marii Wolany-Różyckiej do Marcina Kamińskiego
z dnia 15 marca 1971 r.



MARCIN KAMIŃSKI

MISTRZ RÓŻYCKI

Ludomira Różyckiego, z którym związałem się w myślach i czynach na długie lata, poznałem w przedziwnych – rzec by można – okolicznościach, odpowiadających jednak historii życia i działalności Polaków w momentach wyzwania ziem naszych spod barbarzyńskiej okupacji Niemiec hitlerowskich.

W wyniku zwycięskiej ofensywy 1945 roku, wracaliśmy w owe pamiętne dni na utracone przed wiekami, a przywrócone Macierzy, Ziemie Zachodnie. Zgodnie z ustaleniami władz, 21 marca 1945 roku obsadzaliśmy miasta Bytom, Zabrze i Gliwice. Mnie skierowano do Gliwic, gdzie miałem się zająć zabezpieczeniem dóbr i instytucji muzycznych, pozostawionych przez uciekających Niemców oraz założyć placówkę szkolenia muzycznego.

Katowickie mieszkanie, przydzielone mi jako ówczesnemu kierownikowi referatu muzycznego Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego Śląsko-Dąbrowskiego, zamienione przeze mnie na tymczasową bazę kwaterunkową dla wracających z tułaczki muzy-

ków, pozostawiałem pod opieką prof. Bolesława Szabelskiego – kompozytora i mistrza gry na organach, pedagoga w latach międzywojennych w Państwowym Śląskim Konserwatorium Muzycznym oraz skrzypka Mieczysława Kowalskiego, który właśnie wrócił był z woldenbergskiego oflagu.

Do Gliwic udałem się – wobec faktu wysadzenia wiaduktów przez uciekający Wehrmacht – przesiadkowymi tramwajami.

Po dwóch tygodniach wysiłków mogłem zameldować władzom wojewódzkim, że Instytut Muzyczny im. Ignacego Jana Paderewskiego, umieszczony w willi przy ulicy Sobieskiego 15, gotów jest do podjęcia zadań dydaktyczno-wychowawczych oraz artystycznych.

Czwartego kwietnia pojechałem do Katowic. Po drodze wstąpiłem do mieszkania, by się dowiedzieć, co słyhać u kolegów „pensjonariuszy”.

Drzwi otworzył, tajemniczo się uśmiechając, Miecio Kowalski.

— *Cześć Marcin! Dobrze, że jesteś! Zgadnij, kto do ciebie przyjechał?* – powiedział szeptem.

— *Skąd mogę wiedzieć?* – odparłem. — *Czy ktoś z muzyków?*

— *Tak, tak. A teraz zgaduj!*

By zrobić Mieciovemu przyjemność, zacząłem kolejno wymieniać nazwiska różnych, związanych ongiś z Katowicami, muzyków. A on na to:

— *Nie, nie. Wyżej, wyżej, jeszcze wyżej... No, nie możesz się domyślić. Podpowiem ci: Lu... Lu..., Ludo...*

— *Ludomir Różycki?* – krzyknąłem z niedowierzaniem i przejęciem.

— *Tak, to on, o niego chodzi* – powiedział, zadowolony z efektu Kowalski. — *Wczoraj późnym wieczorem przyprowadził go Szabelski i teraz jeszcze śpi...*

Rozpoczęła się między nami gorączkowa, szeptem prowadzona, rozmowa.. Zdecydowałem, że na cześć znakomitego gościa – mimo trwających trudności aprowizacyjnych – należy przygotować powitalne, i w miarę wystawne śniadanie. Zobowiązałem się dostarczyć odpowiednie wiktuały, a Miecio miał zająć się posprzątaniami reprezentacyjnego pokoju (dziś mieści się w nim Archiwum Pamiątek im. Ludomira Różyckiego) i przygotowaniem stołu do posiłku.

Pobiegłem do miasta, odwiedzając rodziców, brata i siostrę, a także znajomych. Tak oto w błyskawicznym tempie zebrałem trochę specjałów. Niosłem także ze sobą z trudem zdobytą butelczynę czystej wódki. Po drodze opowiadałem wszystkim, kto przyjechał do Katowic i zatrzymał się w moim mieszkaniu. Sensacja!

Cieszyłem się z poznania i bezpośredniego spotkania ze sławnym kompozytorem, którego szereg utworów fortepianowych miałem przecież od lat w swoim repertuarze.

Gdy wróciłem do mieszkania wszystko było gotowe.

Prof. Szabelski ubrany, ogolony, czekał cierpliwie na pojawienie się Ludomira Różyckiego. Inni współlokatorzy, by nie czynić kłopotu, choć z pewnym żalem, wyprawieni zostali do miasta. W pokoju kompozytora było jednak ciągle cicho... Po pewnym czasie poczęły dochodzić do naszych uszu jakieś szmery. Wreszcie drzwi się uchyliły. Prawie w negliżu, w podniszczonej podomce, ukazał się naszym oczom Różycki. Do twórcy opery *Eros i Psyche* podszedł Szabelski, mówiąc:

— *Witamy serdecznie! Właśnie przyjechał z Gliwic właściciel mieszkania, o którym wspomniałem, pan Marcin Kamiński. Pozwolę go sobie przedstawić.*

Różycki, szurając nogami, obutymi w domowe kapciuchy, zbliżył się do mnie. Widząc pełen szacunku i poważania ukłon z mej strony, uśmiechnął się szeroko. Wyciągnął do przyjacielskiego uścisku rękę i odezwał się:

— *Bardzo się cieszę. Jest mi miło, że pana widzę. Przepraszam, że narobiłem kłopotu swoją osobą, ale przyprowadził mnie tutaj kolega Szabelski...*

Wzruszony, odpowiedziałem:

— *Mistrzu! Do końca życia nie zapomnę tej chwili. Jestem głęboko zaszczycony, że tak wielkiego kompozytora goszczę w swoim skromnym domu. Jeśli pan łaskaw, zapraszamy na śniadanie!*

— *O, to przednia myśl, proszę panów – podsumował rozmowę Różycki. — Faktycznie jestem mocno wygłodzony. Przy śniadaniu porozmawiamy. Teraz ogolę się, umyję, ubiorę i za chwilę będę gotów.*

Po upływie kwadransa siedzieliśmy już w czwórkę przy stole. Wzniesiliśmy toast za zdrowie i pomyślność kompozytora. Po zaspokojeniu pierwszego głodu, potoczyła się żywa rozmowa. Mogłem do woli napatrzyć się na znakomitego gościa. Ludomir Różycki był stosunkowo niskiego wzrostu, z postacią przysadziastą i obfitą w tuszę. Na krótkiej szyi miał osadzoną dość dużą głowę z mocno siwiejącą i przerzedzoną czupryną. Głowa od razu, na pierwszy rzut oka, kształtem swoim przypominała znaną z portretów i ilustracji, wyróżniającą się w budowie czaszkę Ryszarda Wagnera. Dolną szczękę miał kompozytor cokolwiek wysuniętą do przodu, co nadawało twarzy pewien rys energii i stanowczości. Na końcu nosa znajdowało się charakterystyczne, jak u jakiegoś boksera po otrzymanym ciosie, skrzywienie na prawo. Punktem centralnym twarzy twórcy *Pana Twardowskiego*, zwracającym na siebie uwagę, były jednak niebieskie o stalowym odcieniu oczy, tryskające pogodą i szczerym, dobrodusznym humorem. W zachowaniu Różyckiego brak było jakiegokolwiek pozy *wielkiego człowieka*, czy nawet szczypty wyniosłości *sławnego kompozytora*. Różycki każdym odezwaniem się ujmował nas skromnością i przyjacielską bezpośredniością.

Podczas herbaty, urozmaiconej kruchymi ciasteczkami – dzieło rąk mojej najzaciejszej matki – Ludomir Różycki począł snuć

swoją opowieść, jakże charakterystyczną dla wszystkich Polaków, którzy przeżyli tragiczne lata okupacji. (...) Zaczęliśmy namawiać Różyckiego, by został w Katowicach. (...) Różycki wszelkie nasze optymistyczne informacje przyjął z dużym zadowoleniem. Wreszcie odezwał się:

— *Jestem panom bardzo wdzięczny za snucie tak pięknych planów. Wasz entuzjazm jest budujący. Nie zapominajcie jednak, że przekroczyłem sześćdziesiątkę i będzie mi trudno zaczynać życie od nowa. Dobytek mój i żony – o córce nie wspominam, bo zabrali ją z mężem i wnuczką Niemcy, na roboty w głąb Rzeszy – zamyka się w kilku walizkach. No, może coś się jeszcze uratuje z tego, co Stefa zakopała w ogródku naszej willi. Jesteśmy jednak bez dachu nad głową, bez mieszkania, bez rzeczy. A to są przecież ważne sprawy życiowe, konieczne dla normalnej egzystencji.*

Miałem już swój plan. Wzruszony szczerymi wynurzeniami kompozytora, odezwałem się:

— *Mistrzu! Proszę się na mnie nie gniewać, ale mam konkretną propozycję. Praktycznie już jestem dwoma nogami w Gliwicach. Mam tam zorganizowany Instytut Muzyczny, którego jestem dyrektorem. Do Katowic już nie wrócę. A więc to mieszkanie, w którym się znajdujemy, mnie przydzielone, wraz z całym wyposażeniem gotów jestem przekazać kompozytorowi Różyckiemu i jego rodzinie. Formalności zaraz się załatwi, proszę tylko podjąć decyzję!*

— *Co, jak?* – odezwał się zaszokowany kompozytor. — *Czegoś takiego nie spodziewałem się. Ja takich darów przyjąć nie mogę!*

Ale, gdy moją propozycję poparli Szabelski i Kowalski, Różycki zdecydował się. Na zakończenie śniadania wychyliłiśmy jeszcze jeden skromny toaścik, życząc szczęśliwego pobytu państwu Różyckim w stolicy Górnego Śląska.

W dwa dni później, by kuć żelazo póki gorące, udałem się z Ludomirem Różyckim do Krakowa. Różycki, po przywitaniu się

z żoną, która z niepokojem oczekiwała na powrót męża, i przedstawieniu mnie, złożył dość szczegółową relację ze swego pobytu w Katowicach, konkludując:

— Tak więc mamy, dzięki panu Kamińskiemu, gotowe mieszkanie z pełnym wyposażeniem, przyznaną mi posadę dziekana i profesora kompozycji w Konserwatorium. Teraz, Stefo, wszystko zależy od ciebie!

Pani Stefania Różycka zrobiła na mnie sympatyczne wrażenie. Od razu domyśliłem się, że w domu ona sprawuje rządy, że jest nie tylko żoną sławnego kompozytora, ale przede wszystkim jemu serdecznie oddaną przyjaciółką. Po krótkiej, ożywionej, a co najważniejsze owocnej rozmowie, zapadła decyzja: państwo Różyccy przenoszą się na stałe na Śląsk. Mogłem spokojnie wracać do Gliwic...

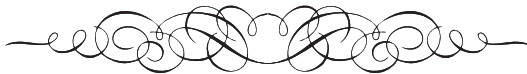
Stefania Różycka w wiele lat później, już po śmierci męża, tak zanotowała na kartach swojego pamiętnika wrażenia z naszego pierwszego spotkania:

(...) w Krakowie zjawia się u nas niespodziewanie Marcin Kamiński, dyrektor Szkoły Muzycznej w Gliwicach, człowiek o wielkiej energii, który mimo straszliwych przeżyć nie przestaje organizować życia muzycznego na Śląsku.

Namawia: Proszę jechać do Katowic. Radzę! Szkoła Muzyczna w Katowicach będzie dla pana punktem oparcia, a pani mogłaby dawać lekcje śpiewu w szkole w Gliwicach. Pojechaliśmy do Katowic...

Źródło: wstęp do książki pt. *Ludomir Różycki – opowieść o życiu i twórczości*, Marcin Kamiński, Bydgoszcz 1987.





TADEUSZ TROJANOWSKI

JAK STAŁEM SIĘ PRAWNUKIEM BEETHOVENA

Pierwszy mój kontakt z Marcinem Kamińskim miał miejsce podczas koncertów orkiestry PSM II w Płocku w sali widowiskowej Domu Kultury w Ciechanowie prawdopodobnie w 1974 r. Orkiestra z temperamentem wykonała między innymi: *Taniec z Szablami* Arama Chaczaturiana i *Jezioro Łabędzie* Piotra Czajkowskiego. Ojciec mój zaanonsował mnie jako kandydata do dalszej nauki w płockiej szkole muzycznej. Po koncercie – jako przewodnicy pojechaliśmy pokazać gościom Opinogórę – miejsce urodzin Zygmunta Krasińskiego i jedyne w Europie Muzeum Romantyzmu. W czasie podróży towarzyszyły mi obawy, czy nie zostaną przepytany z wiadomości o muzyce i w myślach robiłem szybką powtórkę.

Jednak pan dyr. Marcin, co jedynie na chwilę obecną pamiętam, pytał się zdegustowany czy nie ma innej drogi do Opinogóry, bo ta wydawała się zbyt wąska i pokrętna. No cóż, chcieliśmy troszkę urozmaicić równinny krajobraz mazowiecki i stąd wybraliśmy drogę przez Dzbonie, gdzie zarówno tu, jak i w Opinogórze moi rodzice kilkana-

ście lat wcześniej, na początku swojej drogi nauczycielskiej pracowali i w związku z tym dobrze znali te tereny.

Wkrótce miały się odbyć egzaminy w PSM II stopnia w Płocku (5 i 6 czerwca 1974 – plakat z tego roku zachował się w zbiorach biblioteki szkoły w Płocku i z radością spojrziałem na niego w 2009 r. poszukując dokumentów o Marcinie Kamińskim).

Ponieważ 5 czerwca 1974 r. nie mogłem być w Płocku, pozostało mi jechać na egzamin 6 czerwca – tak przynajmniej rozumiałem z informacji na plakacie. Szukając wraz z tatą siedziby szkoły w Płocku wytypowałem okazały budynek, który – ku mojemu rozczarowaniu – okazał się bankiem. Parę kroków dalej znaleźliśmy się przy właściwym budynku, ale tego nie wytrzymały zelówki w moich pantoflach – jedna się odkleiła.

Zza drzwi słyszałem przemawiający do mego ojca dźwięczny głos dyrektora, że *to nie Sorbona* i mogę być przyjęty bez egzaminów. Nie wykonałem więc przygotowanego repertuaru (między innymi *Lotu trzmiela Rimskiego-Korsakowa*), ale wkrótce z okazji... rocznicy Rewolucji Październikowej mogłem zagrać wspomniany utwór, obok *Toccatiny* Dymitra Kabalewskiego, na pierwszym koncercie publicznym w sali płockiej szkoły.

Dzięki niestrudzonemu, pełnemu wiecznej energii Marcinowi miały miejsce w Płocku interesujące koncerty, można było poznać, zobaczyć i posłuchać artystów takich jak: Piotr Perkowski, Tadeusz Baird, Tadeusz Paciorkiewicz, Włodzimierz Kabalewski, Romuald Twardowski, Piotr Paleczny, Marek Drewnowski czy Andrzej Kurylewicz. Z tymi ostatnimi postaciami udało się mi współpracować, a te miłe wspomnienia możliwe są dzięki Marcinowi Kamińskiemu.

Co mnie w jakiś sposób ujęło w postaci tego niezapomnianego tytana pracy to aktywność twórcza i pianistyczna obok szerokiej działalności pedagogicznej i organizatorskiej. Kiedy w 1964r. przybył do Płocka wiem – z jego ust – że wykonał kilka ambitnych utworów Fryderyka Chopina. Na koncercie inauguracyjnym Płockiej

Orkiestry Kameralnej, o której istnienie z takim trudem zabiegał, i na innych jej koncertach często pojawiały się nowe kompozycje Marcina, zwłaszcza kameralne. Ranne godziny poświęcał na ćwiczenie wprawek (przynajmniej tak było w okresie gliwickim), do których i mnie zachęcał. Pamiętam, że znał na pamięć wszystkie *Preludia i Fugi* Jana Sebastiana Bacha. Równie żywo zainteresował się moimi pierwszymi kompozycjami wręczając mi, gdy miałem wyjeżdżać z Płocka, list polecający do Tadeusza Bairda.

Motywowował mnie, by na każdy egzamin z fortepianu (byłem w klasie u prof. Ireny Dębowskiej, potem prof. Hanny Witt-Pasztowej) przygotował i zaprezentował swoją kompozycję, a utwór muzyczny uważał za opanowany na pamięć, jeśli potrafiło się go z pamięci zapisać.

Po przejściu na emeryturę dr Marcin zgłębiał ze mną tajniki kontrapunktu, a nowe utwory miałem okazję przedstawiać i konfrontować. Co należy podkreślić czynił to zupełnie bezinteresownie. W prawdzie emeryturę miał imponującą – 13 tysięcy złotych, ale wkrótce listonosz powiedział, że jego uposażenie nie jest tak duże i, że większe sumy wypłaca swoim klientom.

Kiedys przyniosłem do niego partytury kupione w księgarni (muzykę współczesną). Kompozycje, które przeglądał były skomplikowane rytmicznie (co takt zmiana z 6 na 7, z 7 na 8, z 8 na 9, zawile sekstole, septole itp). Popatrzył uważnie i powiedział, że kompozytorzy tych dzieł muszą jedni od drugich przepisywać, a właściwą ocenę wystawi- jak to mówiono na zjeździe kompozytorów – wpływ czasu (był członkiem Związku Kompozytorów Polskich). Talent kompozytorski bardzo cenił. Wskazywał, że mury uczelni muzycznej opuszcza np. kilkudziesięciu instrumentalistów, a tylko jeden kompozytor.

Śledziłem jego pracę twórczą. *Na świeżo* prezentował mi swoje utwory. Jakże odległa wydawała się data 1991r., kiedy to miał ukończyć utwór wsparty przez Ministerstwo Kultury na 200. lecie Konstytucji Trzeciego Maja. Pamiętam, jak wówczas podzielił się ze mną myślą, że współcześnie w socjalistycznej Polsce sytuacja kom-

pozytora jest tak dobra, że może otrzymać wynagrodzenie za swoją pracę, chociaż, gdy kalkulowaliśmy moje pójście na studia kompozycji stwierdził, że na palcach jednej ręki policzyć można tych kompozytorów, którzy utrzymują się z pracy twórczej. Pierwszy raz się dowiedziałem, że niedawno, gdy płacono od taktu, to kompozytorzy przeważnie pisali w takcie 2/4. Wielokrotnie podkreślał, że pochodzi w prostej linii od Beethovena, a ściślej mówiąc jest jego praprawnukiem. Uczył się bowiem u prof. Brachockiego, który to był uczniem Paderewskiego. Ten zaś uczył się u Leszetyckiego, który pobierał nauki u Czerneho, a ten u Beethovena. Cieszy mnie, że w ten sposób stałem się kontynuatorem tak zacnej linii kompozytorów i nauczycieli fortepianu.

Kiedy odwiedzałem Płock zwykle dzwoniłem z tej samej budki telefonicznej (róg ul. Sienkiewicza i ul. Błonie) i w zasadzie za kilka minut mogłem się meldować w skromnym mieszkaniu dr Marcina, które składało się ze ślepej, socjalistycznej kuchni i pokoju z pianinem, łóżkiem i kilkoma półkami. Pan Marcin – jak zwykle – w garniturze, krawacie z butonierką i w spodniach na szelki, którymi *strzelał* podtrzymując je kciukami, gdy prowadził ze mną gawędy. Firanki zaś były prawie zawsze *czekające na kąpiel*, a na stole zawsze leżało kilka czarnych mazaków, które zwinnie spod ręki doktora Marcina *pisały* nuty i teksty listów.

Spotykałem u niego niejednokrotnie ludzi ze świata kultury, przed którymi miałem okazję wykonywać też i swoje kompozycje. Kilka razy byłem z Lidią – próbowała w kuchni *zrobić* trochę porządków. Pomimo, że z religii miał na którymś ze świadectw najlepszą oceny ideowo wyznawał socjalizm. Na tym polu mieliśmy inne zapatrywania. Uważał, że u nas należy czytać *Kapitał* Marksa, gdzie indziej Koran albo Biblię. Relacje i trwałość małżeńską kwitował, że zobaczę, czy przekonam się sam, *jak to jest*.

Byłem mu niezwykle wdzięczny, że zaprosił mnie do Płocka na pierwszy – do tej pory jedyny – koncert kompozytorski w dniu

17 stycznia 1985 r., który prowadził. Słuchając moich kompozycji stwierdził, że warto by prowadził mnie mistrz kompozycji. Wkrótce zapoznał mnie z Tadeuszem Bairdem w Muzeum Mazowieckim w Płocku, ale nagle śmierć kompozytora 2 września 1981 r. uniemożliwiła mi dalsze kontakty z pomysłodawcą Festiwalu *Warszawska Jesień*. Pojechałem więc z listem polecającym do Romualda Twardowskiego, aby ostatecznie uczyć się kompozycji u Mariana Borkowskiego.

Do wspomnianego koncertu kompozytorskiego nie doszłoby przez mój zegarek marki *CTAPT* (ofiarowany mi przez p. Helenę Piegat – wdowę po członku Rady Delegatów Robotniczych miasta Płocka – Sylwestrze Piegacie, u której mieszkałem na stacji przy ul. Sienkiewicza 34). Spóźniał się on w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Dlatego spóźniłem się na spotkanie z Marcinem Kamińskim. Usłyszałem, że już mój program wyrzucał do kosza, ale gdy przyznałem się, że winny temu jest mój zegarek radził, jako syn naczelnika kolei, by go *wrzucić pod pociąg*.

Na kolejnym koncercie, na który zaprosił mnie 15 marca 1989 roku nie mogłem wykonać nowej kompozycji *Treatment* na fortepian (utwór ukazał się na płycie austriackiej firmy *Vienna Modern Masters* w 1994 r. nagrany przez japońską pianistkę Makiko Hirashima). Kiedy wspomniałem, że poświęcony jest dzieciom nie narodzonym mój zacny nauczyciel zdjął go z programu.

Wracając do wczesnych lat siedemdziesiątych XX w. muszę wspomnieć jedną z wycieczek uczniów szkoły muzycznej w Płocku i *bratniej* młodzieży ze Schwedt do Krakowa, Zakopanego i Poronina (1976). Pamiętam, jak w trakcie jazdy autokarem dr Marcin opowiadał o Mieczysławie Karłowiczu, jego poemacie *Stanisław i Anna Oświęcimowie*, Karolu Szymanowskim, swoich związkach ze Śląskiem, *Balladzie f-moll* Fryderyka Chopina, której temat grał swemu ciężko choremu koledze na jego prośbę. Władał biegle językiem niemieckim, co w Polsce Ludowej nie było przyjmowane entuzjastycznie, dlatego podczas owej wycieczki bez pomocy tłumacza

rozmawiał z gośćmi z Niemiec. Żartem powiedział wówczas o sobie – miejmy nadzieję, że tak, jak Toruń słynie z pierników – Płock będzie słynął z Marcina Kamińskiego.

Są ludzie, o których pamięć powinna trwać jak najdłużej. Do takich płockich *budowniczych* kultury, którzy powinni pozostać w pamięci pokoleń, należał – wpisany w płocką, mazowiecką ziemię Marcin Kamiński.

JESZCZE RAZ – dr Marcinowi

Mijam ludzi
każdy biegnie przez pasy
póki ma zielone światło
czuję się na zewnątrz
chcę ogarnąć te chwile
oni biegną
ja ogarniam
oni żyją
ja jestem na zewnątrz świata
kadruję
przybliżam
wszyscy uciekają
ja biegnę im na pożegnanie
i patrzę
jak przysypały nas pokolenia
drzewa zasłoniły wysokie wieże budowli.
Dobrze jeszcze raz przebiec Tumską
kogoś spotkam
powieje znów wiatr...
nie mam już czasu
na ziemskie odwiedziny.

Białystok, 9.10.2009 r.





Tadeusz Trojanowski – kompozytor, pianista, pedagog.

Uczeń Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Płocku w klasie fortepianu Hanny Witt-Pasztowej. W latach 1975-1977 pobierał prywatne lekcje z propedeutyki kompozycji, harmonii i kontrapunktu u dr Marcina Kamińskiego.

Absolwent Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie klas: fortepianu prof. Jana Kadłubiskiego i kompozycji prof. Mariana Borkowskiego.

W dorobku twórczym posiada ponad 150 kompozycji o zróżnicowanych zestawach wykonawczych i formalnych. Są to dzieła oratoryjne: *Magnificat, Stabat Mater, Modlitwa Jubileuszowa* (I Nagroda na Międzynarodowym Festiwalu Filmów i Multimediiów w Niepokalanowie), *Ave Maria, Misericordiam Dei, Stworzeni do miłości, Zapiski więzienne, Różaniec Papieski, In Honorem Beatae Mariae Virginis Immaculatae, Requiem* – rozważania o życiu i śmierci, orkiestrowe: *Koncert fortepianowy, Pro Memoriam, Transformation, Out, Non stop, Requiem, Witraże*, chóralne: *Te Deum, Missa Brevis, Alleluja*, kameralne: *Impresje na flet i fortepian, Free Oscillation* (III nagroda na Ogólnopolskim Konkursie Kompozytorskim w Warszawie), instrumentalne: *Treatment, Kosmos* na fortepian, *Responsorium, Medytacja* na organy, *Kaprys* na flet, *Suita* na wiolonczelę i fortepian, *Wędrówki po skalach* na gitarę, kolędy do tekstów własnych oraz pieśni. Jest także autorem Uroczystej Fanfary Miejskiej Białegostoku. Większość kompozycji doczekała się wykonań estradowych, a niektóre nagrań radiowych (Polskie Radio, Radio Watykańskie), telewizyjnych i fonograficznych (Vienna Modern Masters).

Kompozycje Tadeusza Trojanowskiego wykonywane były m.in. w Niemczech, Włoszech, Słowacji, Rosji, Norwegii, USA i Japonii. Jako pianista koncertuje w kraju i za granicą wykonując głównie muzykę współczesną i romantyczną.

Należy do Związku Kompozytorów Polskich i Stowarzyszenia Miłośników Muzyki *Musica Sacra* w Białymstoku. Wspólnie z małżonką Lidią jest inicjatorem i współrealizatorem wielu cyklicznych przedsięwzięć muzycznych na stałe wpisanych w kulturalny pejzaż Podlasia takich jak: *Podlaski Festiwal Wielkanocny, Koncert Pamięci, Koncerty przed hejnałem, Koncerty na łące, Franciszkiada - granie na byle czym, Letni Festiwal Chopin nad Nettą, Konfrontacje ze sztuką* oraz koncerty: *Totus Tuus, Pamięć i Tożsamość*.

Jest autorem zbiorów wierszy *Został tylko Anioł Stróż* (1998), *Tato, napisz mi wiersz!* (2009), poezji zamieszczanej w antologiach i periodykach oraz wystaw i konkursów fotograficznych (Nagroda w V konkursie fotograficznym – *Natura moich okolic w Polanicy Zdroju*).

Wielokrotny stypendysta Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. W 2008 r. odznaczony Medalem Zasłużony Kulturze – Gloria Artis.

www.trojanowscy.pl, www.polmic.pl

Płockie Towarzystwo Muzyczne im. Wacława Łachmana

Sala Barokowa Muzeum Mazowieckiego w Płocku
Czwartek, 17 stycznia 1985 roku, godzina 17.00

KONCERT

dyktando 40 - - - - -

WYWOLENIA WARSZAWY
MAZOWSZĄ PŁOCKIEGO

wykonawcy:

EWA KICZKAJŁO

- flet

ANNA ŁUKAWSKA

- śpiew

TADEUSZ TROJANOWSKI

- fortepian

prowadzenie:

DR. MARCIN KAMIŃSKI

w programie:

Tadeusz Trojanowski

pieśni, utwory na flet i fortepian

wstęp wolny

Artis forma B-2

19. Projekt plakatu koncertu w dniu 17 stycznia 1985 r.
w Muzeum Mazowieckim w Płocku.

Płock, 1. III. 1989r.

Drogi i Miły Tadeuszu!

Diękuję za list, wiadomości,
program i życliwie słowa.

Zawaz odpisuję:

Wekam na Was w lek-
tu PTM 15. III. ok. godz.

13.00. Zawaz na miejscu
dokonywany woliści, Cowica
odjazd autobusom do
Żytilina przewidujemy
ok. godz. 14.00, a więc na
wnyśtko będzie nas.

Płock - Żychlin, 15. III. 1989 r.

Płockie Towarzystwo Muzyczne
im. Wacława Laskimana z rado-
wością, wdzięcznością i dumą
obserwuje piękny rozwój na ni-
wie kompozytorskiej Kodra-
nego Wydrwanika Płockich
Dziś Muzycznych, mgr.

Jadusza Trojanowskiego,
któremu organizujemy dziś
koncert autorski podczas
Wielkiego Sprawodawczego
Zebwania Członków.

Życzymy Ci dalszej Twórcy
dalszej owocnej działalności
z kontynuowaniem Studiów
Kompozytorskich w Akademii
Muzycznej im. Fryderyka

21. Pismo z Płockiego Towarzystwa Muzycznego z 15 marca 1989 r.

Chopina w Warszawie w
maksymitej klasie wybit-
nego pedagoga docenta
Mariana Borkowskiego.

Serduszne gratulacje
na dziś i szczerze życze-
nia dalszego dziatania
w przyszłości.



WICEPREZES
Muzyczny i Literacki
Cyrcel Biura
mgr Irena Trojanek-Gogo

SEKRETARZ
Muzyczny i Literacki
do Mariela Kamiński

Sztutowo, 23. V. 88.
Kochany! Dziękuję za miłe i ciepłe
miłe wiadomości. Serdeczne
gratulacje. Cienię się z Twoich
sukcesów. Byłem ich pewny,
bowiem zawiązałem pomysł i
na Twoim talencie. Pracuj
i kontynuuj studia kampanijskie.
Jak robimy się, będzie
o tym wzmawiasz. Ścisłam
i cętejsz! M. Kamiński,

22. Kartka pocztowa do Tadeusza Trojanowskiego ze Sztutowa
z dnia 23 maja 1988 r.

DR MARCIN KAMINSKI
Z serdecznymi gratulacjami
i życzeniami Tadeuszowi
Marcin Kamiński

23. Pozdrowienia Marcina Kamińskiego.



24. Marcin Kamiński i Tadeusz Trojanowski – koncert kompozytorski
17 stycznia 1985 r. w Muzeum Mazowieckim w Płocku.



MARTA KLENIEWSKA

SPOTKANIE NA PIĘCIOLINII

Marcin Kamiński – muzyk i pedagog, kreator działań, które stały się dziedzictwem i bogactwem jego spadkobierców duchowych. Był w naszej *małej Ojczyźnie* - mieście Płocku barwną postacią godną upowszechnienia.

W 1964 r. przybył do Płocka, by objąć stanowisko dyrektora Szkoły Muzycznej. Propozycję pracy w Płocku otrzymał od dyrektora Warszawskiego Wydziału Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Płock w tamtym czasie był miastem z dużymi perspektywami rozwoju w związku z budową Kombinatu. Oferował przydział samodzielnego mieszkania na nowym osiedlu w centrum miasta. W tej sytuacji Kamiński zdecydował się opuścić Gliwice i rozpocząć pracę z nowym rokiem szkolnym już w Płocku widząc otwierające się przed nim perspektywy zawodowe i szansę rozwoju życia muzycznego w mieście.

Jako wirtuoz – pianista, dał recital fortepianowy w sali Szkoły Muzycznej oraz wygłosił powitalną prelekcję. Od pierwszej chwili działania w nowym miejscu pracy, jako dyrektor placówki, pragnął

poprawić warunki lokalowe szkoły. W tamtym okresie szkoła mieściła się w pięciu salkach lekcyjnych na zapleczu kina *Przedwiośnie* przy ulicy Tumskiej. Dopiero w czerwcu 1971 r. udało się przenieść placówkę do obszernego budynku z internatem i stołówką przy ul. Kolegialnej.

Drugą pilną sprawą dyrektora Kamińskiego było wznowienie działalności zawodowej szkoły muzycznej w Płocku. Ważną rolę dla rozwoju życia muzycznego Płocka widział Kamiński w powiązaniu działalności Szkoły Muzycznej z Płockim Towarzystwem Muzycznym im. Wacława Lachmana, założonym w roku 1900.

16 lutego 1965 r. na walnym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Płockiego Towarzystwa Muzycznego Kamiński został sekretarzem Zarządu. Zorganizowano chór kameralny oraz zaczęto urządzać stałe, comiesięczne koncerty pod wspólnym tytułem *Spotkania na pięciolinii*. Marcin Kamiński brał w nich udział jako prelegent i solista.

W czerwcu 1966 roku na zakończenie obchodów tysiąclecia Państwa Polskiego i X wieków Płocka, odbyły się w mieście sejmiki kultury poprzedzające Kongres Kultury Polskiej: powiatowy i wojewódzki. Zapadły na nich dwie uchwały: powołanie rozwojowej Państwowej Szkoły Muzycznej II st. w Płocku oraz zorganizowanie objazdowej orkiestry symfonicznej dla Mazowsza, Kurpii i Podlasia. Uchwała pierwsza zrealizowana została z dniem 1 września 1968 r., a druga dopiero 1 września 1975 r. po przekształceniu się Płocka w miasto wojewódzkie.

Orkiestra pierwotnie należąca do Płockiego Towarzystwa Muzycznego, po przydzieleniu dotacji władz miejskich i wojewódzkich, przyjęta została na budżet państwa 1 stycznia 1977 r.

W podsumowaniu kilkuletniej działalności szkół muzycznych placówka płocka, która dysponowała wcześniej niewielkim budżetem i skromnymi warunkami lokalowymi znalazła się na pierwszym miejscu. Było to osiągnięcie dyrektora Marcina Kamińskiego.

Wyjątkowym wydarzeniem w życiu muzycznym Płocka było zainicjowanie przez niego koncertów z udziałem nauczycieli płockich szkół muzycznych. We wszystkich koncertach ogromną rolę odgrywała osoba samego dyrektora jako prowadzącego, akompaniatora i solisty. Za swoje osiągnięcia otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1975).

W 1977 roku Marcin Kamiński przeszedł na emeryturę. Wtedy to mógł poświęcić się wyłącznie społecznej działalności oraz komponowaniu nowych utworów. Miał również czas na hobby, jako członek Zarządu Koła Łowieckiego *Hubert*³¹ w Płocku.

Mimo wieku pełen był inicjatyw i pomysłów, które z dużym doświadczeniem i uporem realizował. W kwietniu 1980 r. na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego obronił pracę doktorską o Faustynie Piasku – płockim muzyku i nauczycielu.

Rok 1982 poświęcono obchodom setnej rocznicy urodzin Karola Szymanowskiego. Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Ogólnopolski Komitet Obchodu Roku Karola Szymanowskiego wyróżniły Płockie Towarzystwo Muzyczne listami gratulacyjnymi i medalem za piękną i bogatą działalność, a Rada Państwa przyznała Marcinowi Kamińskiemu wysokie odznaczenie państwowe: Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

We wrześniu 1984 roku w sali Teatru Dramatycznego Płocka Orkiestra Kameralna pod batutą Władysława Kabalewskiego odegrała nowe dzieło Kamińskiego skomponowane z okazji zbliżającej się 900 rocznicy urodzin Bolesława Krzywoustego: *Saga o Bolesławie III Krzywoustym*. W dorocznym plebiscycie *Tygodnika Płockiego* zdobył tytuł *Płocczanina Roku 1984*, o czym zdecydowali czytelnicy.

³¹ Marcin Kamiński jest autorem sygnału Koła Łowieckiego *Hubert* – ilustracja na str. 138.

Rok 1985 poświęcono obchodom wielkich rocznic w muzyce, włączonych do obchodów światowego Roku Muzyki. Były to: 300-lecie urodzin Jana Sebastiana Bacha i Jerzego Fryderyka Haendla, 200-lecie urodzin Karola Kurpińskiego, 175-lecie urodzin Ignacego Jana Paderewskiego.

Płockie Towarzystwo Muzyczne urządziło z tej okazji szereg koncertów, które Kamiński prowadził. Był też inicjatorem konkursu wiedzy o Janie Sebastianie Bachu i Jerzym Fryderyku Haendlu, w którym wzięła udział młodzież szkół średnich województwa płockiego. W 1987 r. odbyła się podobna impreza dla młodzieży szkół średnich województwa płockiego: Konkurs wiedzy o życiu i twórczości Karola Szymanowskiego. W tym samym roku dr Marcin wydał książkę pt. *Ludomir Różycki. Opowieść o życiu i twórczości*.

Jeszcze w czerwcu 1990 roku Marcin Kamiński był inicjatorem I Pianistycznego Konkursu im. prof. Ludwika Stefańskiego w Płocku. Patronat nad tym konkursem objęła małżonka profesora, słynna pianistka - Halina Czerny-Stefańska (laureatka IV Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie - 1949r.).

W okresie swej ponad pięćdziesięcioletniej aktywnej pracy, Marcin Kamiński udzielał się również w życiu wielu organizacji, które niezwiązane z działalnością muzyczną, pozwalały na realizację jego prywatnych zainteresowań. Dawały mu ogromną przyjemność i satysfakcję. Było to myślistwo i wędkarstwo. Wiele lat był również członkiem Związku Kompozytorów Polskich (a od 1961 roku członkiem nadzwyczajnym).

Po zakończeniu działalności koncertowej, ze względu na serdeczne kontakty z Towarzystwem Naukowym Płockim, oddał do jego użytku swoje prywatne pianino.

Przez 26 lat życia na terenie Mazowsza związany był głównie z Państwową Szkołą Muzyczną II st. im. Karola Szymanowskiego, Płockim Towarzystwem Muzycznym im. Wałława Lachmana i Płocką

Orkiestrą Kameralną. Dzięki jego pracy placówki te stały się prężnie działającym ośrodkami krzewienia kultury muzycznej Mazowsza.

Z inicjatywy Prezesa Płockiego Towarzystwa Muzycznego – Ireny Trojanek-Gago Zarząd Towarzystwa w 80 rocznicę urodzin i 3 rocznicę śmierci Marcina Kamińskiego umieścił w hallu budynku Państwowej Szkoły Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Płocku tablicę pamiątkową ufundowaną przez władze miejskie. Uroczystego aktu odsłonięcia dokonała jego dawna uczennica, ówczesna Prezes Narodowego Banku Polskiego – Hanna Gronkiewicz-Waltz.



Marta Kleniewska (z domu Gago) – uczennica Marcina Kamińskiego. Ukończyła Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia w Płocku. Magister pedagogiki. Studia podyplomowe: Informatyka, Zarządzanie Spółką. Czynny pedagog.

Dr Marcin Kamiński
Łoto Łowieckie „Hubert”

w Płocku - Polska

Sygnal Łowiecki
dla
Przyjaciela - Myśliwego
Kolegi

Børge Hinrichsen
Bakkeskov - Danmark

Maestoso e poco risoluto

Marcin Kamiński

25. Rękopis sygnału Koła Łowieckiego „Hubert”
(zbiory prywatne Krzysztof Kadlec)



LEON MARKIEWICZ

**WSPOMNIENIE
O MARCINIE KAMIŃSKIM
– „GURU” MOJEJ MŁODOŚCI
MUZYCZNEJ**

Do szkoły muzycznej wstąpiłem w wieku 17 lat. Późno. O wiele za późno, jak na myśl o związaniu swego życia z muzyką. A jednak... Było to na wiosnę roku 1945, gdy moja rodzina, w ramach tzw. repatriacji, czyli wymuszonego przesiedlenia, zamieniła Wilno na opustoszałe wówczas Gliwice. Przydzielone nam całkowicie splądrowane mieszkanie należało zapełnić przypadkowymi meblami znalezionymi gdzie bądź w mniej wyszabrowanych domach uciekinierów niemieckich. Wśród tych mebli znalazł się przywleczony ze zdemolowanej restauracji obiekt mych młodzieńczych marzeń – PIANINO!

Ale moją przyszłość muzyczną zawdzięczam nie tyle pierwszemu nauczycielowi gry na fortepianie Januszowi Bieleckiemu – który wzniecił we mnie zapal do pokonywania pierwszych trudno-

ści technicznych – co **MARCINOWI KAMIŃSKIEMU**, którego, według moich młodzieńczych kryteriów, uznałem za osobowość na miarę wręcz renesansową.

Jako założyciel i pierwszy dyrektor otwartego już w pierwszych miesiącach po wojnie Instytutu Muzycznego, uczynił z tej placówki – podniesionej wkrótce do rangi państwowej szkoły muzycznej – główny ośrodek kultury muzycznej ówczesnych Gliwic. Z nieustającym entuzjazmem organizował recitale ocalałych po wojnie wirtuołów i śpiewaków – u siebie w szkole lub w auli Politechniki Śląskiej. Tam po raz pierwszy usłyszałem żywe brzmienie zespołu symfonicznego sprowadzanej przez niego kilkakrotnie orkiestry Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją Witolda Krzemieńskiego, Franka Autoriego, a nawet Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod mistrzowską batutą Grzegorza Fitelberga. Tam też – również po raz pierwszy – poznałem zachwycające mnie dzieła tej miary, co koncerty fortepianowe Chopina, *Bajka Moniuszki*, *Preludia symfoniczne* Liszta oraz zmagąłem się z nowymi dla moich jeszcze niewyrobionych uszu prawykonaniami utworów Marcina Kamińskiego – poematami symfonicznymi *Paweł Kocima*, *Śladami Fryderyka* czy *Suitą dziecięcą*.

Szczególnością aktywności organizacyjną wykazał Kamiński w „Roku Chopinowskim ” uroczystości odchodzoną w całym kraju w roku 1949 jako setną rocznicę śmierci kompozytora. Z jego inicjatywy wzniesiono w parku gliwickim pierwszy na tzw. ziemiach odzyskanych pomnik Chopina poprzedzony obywatelską akcją wykupu cegiełek na budowę pomnika oraz uczczony cyklem recitali chopinowskich wybitnych pianistów z prelekcjami muzykologów (w kilka lat później był też inicjatorem budowy pomnika Mickiewicza wzniesionym na skwerze przed szkołą muzyczną).

Sam Kamiński nie ograniczał się li tylko do organizacji koncertów i różnych przedsięwzięć artystycznych. Wykorzystywał każdą okazję, by własnym słowem przybliżyć publiczności kompozytora,

styl, czy konkretne dzieło. Zdobył przez to dużą popularność w środowisku melomanów gliwickich.

Nie tylko wśród melomanów, ale także i wśród uczniów. Fascynujące były dla mnie prowadzone przez niego z wielkim zaangażowaniem lekcje słuchania muzyki, które ilustrował własnym wykonywaniem dzieł fortepianowych Chopina i Beethovena. Do dziś słuchając chopinowskich scherz, zwłaszcza cis-moll lub b-moll, czy też niektórych nokturnów, łączę je z wspomnieniem postaci Marcina Kamińskiego. On też otworzył moje uszy na sonaty Beethovena – *patetyczną*, *księżycową*, *waldsteinowską* czy *appassionatę* – gdy podczas gry z podnieceniem dosłownie wykrzykiwał od fortepianu, w którym miejscu zaczyna się np. temat II, przetworzenie, reprzyza, koda, refren ronda, czy kolejna wariacja (gdy nieco później czytałem *Jana Krzysztofa* Rollanda znalazłem tam – z nieukrywaną satysfakcją – niemal identyczny opis prezentacji dzieł muzycznych).

Na tych lekcjach hojnie korzystał też Kamiński ze zbioru płyt gramofonowych uratowanych dla szkoły muzycznej przed szabrownikami z opuszczonego mienia poniemieckiego. Tą drogą odkrył przede mną symfoniczną muzykę Beethovena wzbudzając spontaniczny zachwyt potęgą wyrazu emanującego z uwertur *Coriolan*, *Egmont*, oraz z III, V i VII symfonii (gdy po latach prowadziłem w radiu cykl *Klub dobrej muzyki* nie omieszkałem zacząć go właśnie *Coriolanem*).

Podobnie jak Beethovenem zachwyceń się wówczas muzyką Wagnera prezentowaną przez niego wbrew panującemu wówczas niesłusznemu wiązaniu tego kompozytora z ideami faszystowskimi. I znów seria zachwytów nad fragmentami wagnerowskich oper: uwerturami do *Tannhäusera*, *Holendra Tułacza*, *Lohengrina*, scenami *Czaru ognia* i Marsza Żałobnego z *Pierścienia Nibelunga*. Dzięki Kamińskiemu Wagnera poznałem wcześniej niż wielu innych kompozytorów obiegowego repertuaru klasyczno-romantycznego. Nieprzewidywalny zbieg dalszych kolei mej działalności muzycznej sprawił, że wszystko to, co mówił on nam wówczas o tym kompozytorze i jego muzyce

mogłem zweryfikować i na nowo przeżyć „w oryginale” podczas wielokrotnych bytności na wagnerowskich festiwalach w Bayreuth – już jako krytyk muzyczny... Oczywiście każdorazowy pobyt w „Festspielhausie” łączyłem z wspomnieniami fascynujących gliwickich lekcji Kamińskiego o muzyce Wagnera..

W ostatnich latach nauki muzyki w Gliwicach zostałem – ku mojej radości – uczniem klasy fortepianu Marcina Kamińskiego. Ponieważ wyróżniałem się wówczas sporymi postępami w grze na fortepianie, ćwicząc nieraz całymi dniami, mój profesor nie wahał się przed zadawaniem mi trudnego repertuaru (*Suity angielskie* Bacha, polonezy Chopina, utwory Schuberta, *Koncert Es-dur* Mozarta) dzięki czemu, nie ukończywszy średniej szkoły muzycznej, zdałem na drugi rok studiów katowickiej PWSM.

Na karierę pianistyczną było jednak za późno. Bez najmniejszego żalu wybrałem więc humanistykę muzyczną – studiując najpierw na Wydziale Pedagogicznym, potem na sekcji Teorii Wydziału Kompozycji, Teorii i Dyrygentury. Ujawniła się wówczas moja nowa pasja – działalność kulturotwórcza a w szczególności popularyzacja muzyki poprzez słowo: pisane (publicystyka, krytyka muzyczna, muzykologia, pedagogika) i mówione. W tym ostatnim zakresie wzorem dla mnie stał się Marcin Kamiński – „guru” mojego młodzieńczego uniesienia muzyką. Doświadczając na sobie jaką rolę odegrały jego prelekcje w odkrywaniu mi fascynujących sfer sztuki dźwięku starałem się go naśladować prezentując jej uroki przed najróżniejszą publicznością.

I oto, już w latach osiemdziesiątych, znów spotkałem się z Marcinem Kamińskim – animatorem życia muzycznego w Płocku, jako dyrektorem Szkoły Muzycznej, sekretarzem Płockiego Towarzystwa Muzycznego i organizatorem m.in. niemal corocznych koncertów kameralnych „ekipy śląskiej”. Byłem nawet zdziwiony tym, że pamiętał swego dawnego ucznia, powierzając mi nie tylko wybór wykonawców i repertuaru na te koncerty ale także ich prowadzenie.

Niespodziewanie więc stanąłem wobec poczucia odwróconej roli: to mój profesor był słuchaczem, a ja występowałem w jego niedysiejszej funkcji prelegenta! Każdy koncert – czy to w Muzeum Mazowieckim, czy to w Sierpcu, Sannikach, Kutnie, Żychlinie – był więc dla mnie rodzajem egzaminu składanego przed swoim dawnym „guru”. Mimo najszczerzej okazywanej serdeczności wobec całej ekipy, a zwłaszcza jego obecności na wszystkich koncertach, nie mogłem pozbyć się stawianych sobie natrętnych pytań w rodzaju: *czy zaakceptuje moje słowa? Czy zdołam nimi wzbudzić zainteresowanie publiczności, jak on to czynił niegdyś w Gliwicach?*

Chyba nie było najgorzej, skoro „koncerty śląskie” na Ziemi Płockiej, tak pod względem doboru najlepszych wówczas artystów katowickich jak i ambitnego repertuaru zaowocowały przyznaniem mi – z pewnością z inicjatywy Marcina Kamińskiego – Medalu Płockiego Towarzystwa Muzycznego oraz Złotej Odznaki za zasługi dla województwa płockiego, które to wyróżnienia niezwykle sobie cenię. Ze swej strony ja uznałem za naturalny obowiązek ucznia wobec swego profesora uczczenie jego 70-lecia przez zorganizowanie i prowadzenie dwóch koncertów kompozytorskich: w Akademii Muzycznej w Katowicach, której był absolwentem jeszcze przed wojną, oraz w Szkole Muzycznej w Gliwicach, której był niezapomnianym dynamicznym założycielem.

Niewiele było postaci w moim życiu, które umotywowały wybór mojej działalności muzycznej i jej rodzaju w tak silnym stopniu jak Marcin Kamiński.





Prof. dr hab. Leon Markiewicz – muzykolog, pedagog, publicysta, ur. 23 września 1928 w Wilnie. W roku 1945 osiedlił się na Śląsku. Tu odbył wyższe studia muzyczne z zakresu pedagogiki i teorii muzyki, uzupełniając je doktoratem w Instytucie Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego (1970). W roku 1997 habilitował się w Instytucie Sztuki PAN.

Od początku swej działalności zawodowej związany z Akademią Muzyczną w Katowicach, gdzie w roku 1973 został mianowany docentem, a w roku 1984 uzyskał tytuł profesora sztuki muzycznej, na tejże uczelni wykładał teorię i historię muzyki, edukację muzyczną oraz pedagogikę instrumentalną, oraz pełnił funkcje Prorektora (1975-1979) i Rektora (1979-1981); w latach 1968-2004 był kolejno kierownikiem Katedry Teorii Muzyki i Katedry Edukacji Muzycznej, zaś w latach 1978-1991 – kierownikiem Zakładu Wychowania Muzycznego i dyrektorem Instytutu Wychowania Artystycznego w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Od roku 1999 jest profesorem WSP TWP w Warszawie – Wydział Nauk Społeczno-Pedagogicznych w Katowicach. Przez wiele lat był członkiem, a następnie ekspertem do spraw teorii muzyki przy Radzie Wyższego Szkolnictwa Artystycznego i Komitecie ds. Nagród Prezesa Rady Ministrów.

Autor ok. 150 rozpraw muzykologicznych (m.in. o śląskiej kulturze muzycznej, K. Szymanowskim i źródłowych monografiach o B. Szabelskim, G. Fitelbergu, M. Spisaku) oraz organizator wielu imprez muzycznych i sesji naukowych, był m.in. wieloletnim dyrektorem *Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. G. Fitelberga* (1987-2003) oraz przewodniczącym *Jury Scholi Cantorum* w Kaliszu (1978-2006). Zajmuje się też popularyzacją muzyki w prasie, radiu, telewizji, oraz na koncertach dla różnych środowisk, w szczególności dla dzieci i młodzieży.

Członek ZG SPAM (wiceprzewodniczący w latach 1966-1974) i Polskiej Sekcji ISME (wiceprzewodniczący od roku 1975) oraz Sekcji Muzykologów ZKP. Za swoją działalność pedagogiczną, naukową, upowszechnieniową uhonorowany został wieloma odznaczeniami i nagrodami: m.in. krzyżami Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Medalem za Zasługi dla Kultury Polskiej, Nagrodą Zespołową Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży, nagród rektorskich i Ministra Kultury i Sztuki, Nagrodą Artystyczną Prezydenta Katowic, Doroczną Nagrodą i Medalem SPAM za Zasługi dla Muzyki Polskiej, złotymi odznakami SPAM, Polskiej Sekcji ISME oraz województw katowickiego, płockiego, wielkopolskiego.

Bibliografia

1. Marcin Kamiński, *Wacław Lachman – Zarys życia i twórczości*, Towarzystwo Naukowe Płockie, Płock 1969
2. Marcin Kamiński, *Ludomir Różycki – Opowieść o życiu i twórczości*, Pomorze, Bydgoszcz 1987
3. Mieczysława Hanuszewska, Bogusław Schaeffer, *Almanach polskich kompozytorów współczesnych*, PWM, Kraków 1982
4. Państwowe Wydawnictwo Naukowe – praca zbiorowa pod red. Stefana Śledzińskiego, *Mała Encyklopedia Muzyki*, Warszawa, 1968
5. Towarzystwo Naukowe Płockie – praca zbiorowa pod przewodnictwem Jakuba Chojnackiego, *Dzieje Płocka*, TNP, Płock 1978
6. Jerzy Habela, *Słowniczek Muzyczny*, PWM, Kraków 1988
7. Władysław Kopaliniński, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1983
8. Państwowe Wydawnictwo Naukowe – praca zbiorowa pod red. Stanisława Skorupki, *Mały słownik języka polskiego*, PWN, Warszawa 1968
9. Kazimierz Komaniecki, *Słownik łacińsko-polski*, PWN, 1982
10. Franciszek Dorobek, *70-lecie Płockiego Towarzystwa Naukowego* – TNP, Płock 1971
11. Albert Sowiński, *Słownik muzyków polskich dawnych i nowoczesnych*, Paryż 1874
12. Wydawnictwo Naukowe PWN - praca zbiorowa pod red. Barbary Petrozolin-Skowrońskiej, *Nowa Encyklopedia Powszechna*, PWN, Warszawa 1995

Źródła archiwalne

1. Dokumenty archiwalne ze zbiorów biblioteki PSM I i II stopnia im. Karola Szymanowskiego w Płocku
2. Zbiory prywatne – Lidia i Tadeusz Trojanowscy
3. Zbiory prywatne – Krzysztof Kadlec

Źródła internetowe

1. Wikipedia, wolna encyklopedia: www.wikipedia.pl
2. Strona Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Gliwicach: www.psmgliwice.pl
3. Strona Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Sierpcu: www.sierpcpsm.neostrada.pl

Spis ilustracji

1. Zawiadomienie szkolne z Publicznej Szkoły w Sosnowcu, klasa III – 1923/1924	76
2. Zdjęcie maturalne, 1934 r.	77
3. Świadectwo dojrzałości Państwowego Gimnazjum Męskiego im. S. Staszica z dnia 18 czerwca 1934 r.	78
4. Dyplom uzyskania stopnia naukowego doktora z dnia 10 grudnia 1980 r.	89
5. Pismo do Barbary Hesse-Bukowskiej z dnia 1 października 1984 r.	90
6. Pismo do Tadeusza Paciorkiewicza z dnia 1 października 1984 r.	91
7. Telegram do prof. Stanisława Tomczyńskiego z dnia 3 października 1984 r.	93
8. Telegram do prof. Stanisława Tomczyńskiego – bez daty	94
9. Pismo do Biblioteki Narodowej w Warszawie z dnia 20 kwietnia 1984 r.	95
10. Pismo do Urzędu Miejskiego w Płocku z dnia 11 grudnia 1984 r.	97
11. Notatka z dnia 19 września 1984 r.	99
12. Z płockiej estrady z dnia 4 marca 1984 r.	101
13. Projekt plakatu koncertów z 11-13 marca 1985 r.	102
14. Pismo do Związku Kompozytorów Polskich z dnia 26 lipca 1985 r.	103

15. Pismo ze Śląskiego Konserwatorium Muzycznego w Katowicach z dnia 4 listopada 1936 r.	109
16. Zaświadczenie z Państwowego Konserwatorium w Katowicach z dnia 15 marca 1945 r.	109
17. Plakat Wieczornicy Muzycznej w Sali prezydium MRN w Gliwicach z dnia 10 listopada 1960 r.	110
18. List Marii Wolany-Różyckiej do Marcina Kamińskiego z dnia 15 marca 1971 r.	111
19. Projekt plakatu koncertu w dniu 17 stycznia 1985 r. w Muzeum Mazowieckim w Płocku.	126
20. List do Tadeusza Trojanowskiego z dnia 1 marca 1989 r. . . .	127
21. Pismo z Płockiego Towarzystwa Muzycznego z 15 marca 1989 r.	128
22. Kartka pocztowa do Tadeusza Trojanowskiego ze Sztutowa z dnia 23 maja 1988 r.	130
23. Pozdrowienia Marcina Kamińskiego.	130
24. Marcin Kamiński i Tadeusz Trojanowski – koncert kompozytorski 17 stycznia 1985 r. w Muzeum Mazowieckim w Płocku.	131
25. Rękopis sygnału Koła Łowieckiego „Hubert”	138

Spis treści

Przedmowa	7
Marcin Kamiński (1913-1990)	11
<i>Piórem Marcina Kamińskiego</i>	
Rozdział I. Lata dzieciństwa i młodości	13
<i>Wojciech Łęcki</i>	
Nie ma ludzi niezastąpionych	81
<i>Marcin Kamiński</i>	
Moje spotkanie z Lachmanem	105
<i>Marcin Kamiński</i>	
Mistrz Różycki	113
<i>Tadeusz Trojanowski</i>	
Jak stałem się prawnikiem Beethovena	119
<i>Marta Kleniewska</i>	
Spotkanie na pięciolinii	133
<i>Leon Markiewicz</i>	
Wspomnienie o Marcinie Kamińskim – „Guru” mojej młodości muzycznej	139
Bibliografia	145
Spis ilustracji	147



LIDIA MARIA TROJANOWSKA

Absolwentka PSM I stopnia w Płocku w klasie fortepianu prof. Janiny Burakowskiej (w latach 1975-1977 uczennica dr Marcina Kamińskiego), PSM II stopnia w Białymstoku (fortepian u Tadeusza Trojanowskiego). Absolwentka Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie filia w Białymstoku w klasie prowadzenia zespołów wokalnoinstrumentalnych prof. Z. Szablewskiego. Od 1983 r. nauczyciel w szkołach muzycznych i Ognisku Baletowym w Białymstoku. Dyrygent chórów takich jak: Katedralny Chór Młodzieżowy *Carmen*, Chór Pieśni Dawnej im. S. Moniuszki, Zespół Wokalny Liceum Ogólnokształcącego w Mońkach, Zespół Kameralny *Miraż* w Białymstoku. Juror licznych festiwalu i przeglądów twórczości młodzieżowej profesjonalnej i amatorskiej. Inicjator prywatnego szkolnictwa muzycznego na Podlasiu. Animator kultury w kraju i poza jej granicami. Wspólnie z mężem Tadeuszem jest pomysłodawcą i organizatorem wielu cennych inicjatyw, które na stałe wpisały się w kulturowy pejzaż Podlasia: *Łapskie Te Deum*, *Koncerty na łące*, *Koncerty przed hejnałem*, *Koncerty Pamięci*, *Muzyczne Spotkania z naturą – Franciszkiada*, *Podlaski Festiwal Wielkanocny*, *Konfrontacje ze sztuką*, koncerty: *Totus Tuus*, *Pamięć i Tożsamość*, *Letni Festiwal Chopin nad Nettą*. Koncertowała w wielu krajach Europy (m.in. Włochy, Niemcy, Słowacja, Litwa, Ukraina, Rosja). W dorobku posiada nagrania fonograficzne i telewizyjne (Radio Vaticana, Polskie Radio Białystok, TVP1, TVP3, Jard Media).